

Wanda Woźniak

Moje wspomnienia z Syberii

Radzyński Rocznik Humanistyczny 10, 129-166

2012

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.



RADZYŃSKI ROCZNIK HUMANISTYCZNY
tom 10, 2012

Wanda Woźniak

Moje wspomnienia z Syberii

Szczęśliwe lata na kochanym Wołyniu

Lato 1939 roku było wyjątkowo upalne. Dobiegały końca moje ostatnie szczęśliwe wakacje. Zdałam do pierwszej klasy gimnazjum w moim rodzinnym mieście Dubnie. W nowym granatowym mundurku z niebieską tarczą na rękawie chodziłam dumna i z niecierpliwością czekałam pierwszego września – początku nauki. Wakacje te początkowo spędzałam na wsi Kraśnica Ułańska koło Dubna, gdzie rodzice moi posiadali ziemię. Nie uprawiali jej, lecz była oddana w dzierżawę. Co roku wyjeżdżaliśmy tam zapraszając swoje koleżanki ze szkoły. Jakież to były szczęśliwe chwile, gdy po zakończeniu roku szkolnego razem z siostrą Marią i koleżankami jechałyśmy furmanką na wieś. Wtedy nie były w modzie wczasy, a właśnie taki wypoczynek. Rodzice zostawali w mieście pochłonięci swoimi zajęciami, a dzieci wypoczywały czynnie. Ponieważ gospodarstwo było dość duże, dzierżawca miał trochę dobytku, więc siłą rzeczy na ile nas było stać pomagałyśmy z wielką ochotą w pracach gospodarskich. A więc pasłyśmy krowy, poganiałyśmy konie w kieracie, układałyśmy siano lub słomę. Ale najlepszym zajęciem było jeżdżenie na kieracie i chowanie się w stertach słomy. Była to najlepsza zabawa. Żona dzierżawcy karmiła nas potrawami wiejskimi, przeważnie kwaśnym mlekiem z ziemniakami, pierogami z fasolą i makiem (do dziś pamiętam ten smak). W okresie tym zawsze były żniwa, więc mieszczuchami nikt nie zajmował się. To była prawdziwa wolność. Wieczorami chodziłyśmy po wsi śpiewając pieśni i dumki ukraińskie z miejscową młodzieżą. Wołyń to kraina mlekiem i miodem płynąca,

ziemia żyzna. Ludność sympatyczna, rozśpiewana. Nie było żadnych podziałów. A byli tam koloniści niemieccy, Czesi, Ukraińcy, Żydzi i Białorusini-Poleszacy, którzy na żniwa przychodzili na Wołyń w celach zarobkowych. Polaków na wsiach nie było wielu. Wszyscy żyli zgodnie, przyjaźnili się, dopóki nie skłóciła ich wojna.



Siedzę na ławce w środku, moja siostra z piłką

Lata te najmilej wspominam, jako dzieciństwo sielskie-anielskie jak piszą poeci. Do miasta Dubna z Kraśnicy było około 4 km. Ponieważ konie u dzierżawcy letnią porą były często zajęte, więc do miasta i z miasta chodziłyśmy piechotą. To była frajda. Szło się pół dnia, naturalnie kilkakrotnie odpoczywając pod każdym napotkanym krzyżem przydrożnym ustrojonym ręcznikami haftowanymi, na modłę prawosławną. Wspominałyśmy przy tym zasłyszane od starszych jakieś niesamowite opowieści. Bo krzyże te stawiali ludzie zawsze na jakąś cześć. W miejscowości tej były widocznie kiedyś duże boje, na polach widniały jeszcze resztki okopów, które z czasem zostawały zrównywane przez uprawy. Znajdowało się czasem stare zardzewiałe hełmy, bagnety, łuski itp. pozostałości z czasów I wojny światowej. Miałyśmy nieraz całe arsenały, które potem dzierżawca gdzieś wyrzucał. Była też ogromna dolina – lej, nazwana przez ludność „Żłodzijską doliną”. Podczas podążania do sklepu należało przez nią przejść. Biegłyśmy wtedy szybko odmawiając pacierz, bojąc się strachów. Pamiętam, że kiedyś podczas zachodu słońca na niebie ukazały się dosłownie jakby okopy. Dziwna poświata. Podobno była to zorza polarna. Chmury były szare – posępne, a promienie słońca przebijające przez nie tworzyły czerwieniejące strugi. Ludność miejscowa wróżyła z tego, że stanie się coś niedobrego, na pewno wojna. Strach nas ogarniał, a było to w sierpniu 1939 roku. Na początku roku właściwie niewiele mówiło się o wojnie, ale już pod koniec

wakacji narastał niepokój. Ze wszystkich zjawisk wróżono wojnę, ale my w to nie wierzyliśmy. Jak myśmy wtedy młodo wyglądali!



Stoję pierwsza z lewej

Obecnie coraz częściej wyrrywam się z terażniejszością do przeszłości. Może to cecha wieku bardzo dojrzałego, by jeszcze raz choćby tylko na chwilę znaleźć się w latach, gdy więcej się miało przed sobą nadziei i marzeń niż doświadczeń za sobą. A czy we wspomnieniach można przebierać? Chociaż obecnie cierpię na brak iluzji, ale chciałabym spotkać się z dawnymi przyjaciółmi i przypomnieć te najlepsze, te beztroskie lata życia, które tak mocno utrwaliły się w mej świadomości. Kiedy fikało się koziołki w stodole na sianie w porze żniw, jeździło się na wozach ze zbożem. Kiedy rano wyłaziło się przez okno w koszulach na rosę. A wreszcie śniadanie takie, którego smak dotąd pamiętam – zalewajka, zacierka. O Boże – kiedy to było? Czy w ogóle było? Zaczynam nie wierzyć.

Niewiele faktów pamiętam z wczesnego dzieciństwa. Rodzice nas bardzo kochali, powodziło się nam dobrze. Obie z siostrą miałyśmy na wszystko pieniądze. Ojciec ubolewał tylko, że nie ma syna. Od młodych lat służył w wojsku. W 1915 roku został wcielony do armii carskiej i skierowany do Korpusu Ekspedycyjnego we Francji. Po przewrocie (wybuchu rewolucji w Rosji) wstąpił do organizującej się tam w 1918 r. armii polskiej. Do Polski przybył z armią generała Hallera. Jako oficer w życiu codziennym przejawiał dryl wojskowy. Od czasu do czasu musztrował nas jak chłopców. Nie były to przykre momenty, bo nas kochał. Często opowiadał nam

o swoich przejściach z I wojny światowej. Walczył nawet w Afryce. Dzieje Polaków w czasie I wojny były podobne jak w czasie II wojny światowej. Najdłużej jednak był we Francji, miał tam nawet narzeczoną Laurę. Imię to nadał mojej siostrze Marii jako drugie, chyba na jej cześć. Z opowieści Ojca niewiele pozostało, ponieważ w wieku dziecięcym niewiele pamięta się co mówią rodzice.

Miałam podobno zdolności do malowania. Uczyłam się nawet u pewnego malarza, ale nauka moja polegała na tym, że rozmazywałam dla kawału palcem farby na palecie. Malarz ten malował przeważnie akty, a ja podczas jego nieobecności domalowywałam wąsy, brody itp., czyniąc szkodę. Nauczył mnie jednak coś niecoś, dobierania kolorów, patrzenia na piękne krajobrazy. Zaczęłam nawet szkicować pejzaże, ale wtedy nudziło mnie to.

Moja Mama pięknie śpiewała, grała na pianinie i gitarze. Często śpiewała romanse cygańskie, rosyjskie dumki. Bardzo ładnie ubierała się, miała piękne długie kasztanowe włosy spięte w kok. Nigdy nie wyszła do miasta bez kapelusza i nigdy nie opalała się.



Moi rodzice Janina i Antoni

Przez Dubno płynęła rzeka Ikwa, tak pięknie opisywana w wierszach przez Słowackiego. Wtedy zdawało mi się, że to była szeroka i duża rzeka. Pływać nauczyłam się nie wiem kiedy, chyba zawsze umiałam. Na przedmieściach Dubna był most na tej rzece zwany Pantalijskim. Wtedy zdawało mi się, że jest niezwykle wysoki i duży. Z niego skakałyśmy z siostrą dając nurki. W oczach dziecka wszystko wtedy było ogromne, piękne, bo to był rodzinny kraj. Już po latach, w 1968 roku, kiedy przyjechałam do Dubna odwiedzić swoje strony, wszystko było jakieś małe, szare, a ten most okazał się wcale nie taki duży. Miasto, za którym tak tęskniłam

przez te wszystkie lata, zastałam zupełnie inne – nie moje. Chodziłyśmy z siostrą po znanych ulicach, które teraz były brudne, zaniedbane, domy odrapane. Nowe władze sowieckie doprowadziły do bałaganu i niedbalstwa. Z kościoła zrobiono dom sportu. Mojej szkoły chyba nigdy nie remontowano, były na niej znaki od kul z czasów wojny. Właściwie żalowałam, że pojechałam do Dubna. Prysły wspomnienia z lat dziecinnych. Widoki zapamiętane z tamtych czasów rozplynęły się. Takich miejsc związanych z miłymi wspomnieniami nie należy po latach odwiedzać, bo to boli.

W Dubnie upłynęły moje najlepsze lata, beztrudne dobre chwile. Tam też przeżyłam pierwszą miłość, właściwie prawie dziecinną, którą wspominam przez cały czas. To było króciutkie wniebowstąpienie, które z nastaniem wojny prysło. Bo pierwsza miłość jest po to, aby wspominać ją przez całe życie i czerpać z niej radość w trudnych chwilach. To nie prawda, że mija jak pierwszy śnieg. We mnie przetrwała. Wspomniałam o niej w dalszej części, gdy po latach dowiedziałam się, gdzie Stach przebywa (*Czy pierwsza miłość jest ostatnia, czy ostatnia jest pierwsza*, ks. Twardowski).



Herb Dubna

Pierwszego września 1939 roku naloty, syreny, panika. Czasy sielsko-anielskie odeszły na zawsze. Wczesnym rankiem już było wiadomo, że to wojna. Ludzie biegali niezorientowani, gdzie się kryć. Zaczęto kopać schrony przeciwlotnicze. Młodzież, nie dowierzając co się stało, właściwie nie odczuwała wielkiej trwogi. Nareszcie coś będzie się działo! Ojca mego zmobilizowanego w końcu sierpnia już wcześniej pożegnaliśmy, ale nie bardzo chciałam wierzyć, że to coś poważnego. Wiadomo – wojsko zawsze musi być gotowe, w czas pokoju jak i wojny. Od pierwszego dnia wojny harcerstwo przystąpiło do działania. Mieliliśmy rozdysponowane swoje funkcje. Jedni do szpitala, drudzy na dworzec kolejowy, inni do kopania schronów, opieki nad dziećmi. Zaczęły napływać masy uciekinierów z zachodu.

Mnie przypadło w udziale dyżurować na dworcu kolejowym w Dubnie. Służba nasza polegała na wynoszeniu do pociągów wiozących żołnierzy na front gorącej herbaty i chleba, o który już wtedy było trudno. Nie wiem dlaczego, ale od razu zostały zamknięte wszystkie sklepy. Dla młodszego harcerstwa ciężka to była służba, trwająca na zmianę w dzień i w noc. Wtedy wszyscy byli tak pełni optymizmu, że to nie potrwa długo, więc z zapałem wykonywali te obowiązki. Zresztą wychowywano nas w duchu patriotyzmu zarówno w domu jak i w szkole. Każdy z nas wiedział, że służy Ojczyźnie. Wierzyliśmy, że niebawem zwyciężymy. Jeszcze czwartego września odbywała się nauka w szkołach. To dowód, że nie wierzono w klęskę. Moje gimnazjum zaraz przekształcono w szpital, a wszystkie klasy odbywały zajęcia w kościele. Co za pomysł i odwaga. Ale lekcji było niewiele, raptem przez kilka dni. Zapamiętałam taki fakt, kiedy siedzieliśmy w ławkach kościelnych z profesorem, aż tu nagle syreny, bomby, alarm, popłoch. Rzuciliśmy się do drzwi. Następnego dnia już nikt nie przyszedł na lekcje. Zaczęło się prawdziwe bombardowanie. Schronów było mało, więc ludzie kryli się, gdzie mogli. Samoloty nie tylko zrzucały bomby, ale jeszcze zniżają się i bezpośrednio strzelały do ludności. Raz cudem uniknęłam śmierci. Schowałam się za śmietnik, a obok został raniony człowiek. Wtedy dla mnie naprawdę zaczęła się wojna. Bałam się. Moja siostra ze strachu omal nie wpadła do jakiegoś lochu, bo myślała, że to schron. Nie wiem dlaczego, ale my z siostrą ciągle byliśmy na ulicy, uciekałyśmy z domu i mama nasza nie wiedziała co się z nami dzieje.

Zresztą ja ciągle byłam zaangażowana w służbę harcerską. Do szpitala przybywało coraz więcej rannych. Chodziłyśmy do nich, spełniałyśmy usługi. Przynosiłam dla nich prosto z piekarni wystany w kolejce chleb i bułki. Z domu wynosiłam mydło, ręczniki, przybory do golenia. Pomagałam rannym w ich toalecie. Wiedzieliśmy jak bardzo poszkodowani w walkach żołnierze czekają na nas. Pielęgniarek było mało. Jeden taki dzień utkwiał mi w pamięci. Byłam w szpitalu na piętrze, na sali ciężko rannych. Nagle odezwały się syreny alarmowe, był nalot. Nigdy nie zapomnę przerażenia w oczach rannych. Z innych sal lżej ranni schodzili z pięter o kulach, niektórym pomagały harcerki. Z sali, w której przebywałam dwóch rannych nie mogło ruszyć się z łóżka. Ja nie mogłam oderwać oczu od ich przerażonych, błagalnych spojrzeń. Nie mogłam im pomóc. Ale zaraz zjawili się jacyś ludzie z noszami, wzięli ich i znieśli do ogrodu, gdzie zgromadzili się już wszyscy ranni i służba medyczna. Ja szłam obok tych noszy i jeden z rannych trzymał mnie za rękę. Teraz dopiero rozumiem dlaczego. Widocznie odczuwał potrzebę posiadania obok siebie kogoś bliskiego, obojętnie kogo. A ja sama prawie dziecko – miałam 13 lat – pocieszałam go, że zaraz zjedziemy. Syreny wyły, samoloty warczały, a ja umierałam ze strachu, że zaraz padnie bomba. Na szczęście nic się nie stało. Po alarmie ranni wrócili do szpitala. Nie wiem w jakiej randze byli ci żołnierze, ale do tej pory pamiętam ich przerażone oczy.

Mój Ojciec może też potrzebował czyjejś pomocy. Od Niego nadszedł pierwszy list z frontu. Pisał, że przydzielono go na początku do DOK Lublin, był adiutantem jakiegoś dostojnika wojskowego. Długo nie wytrzymał i poprosił o przeniesienie w bezpośrednie działania frontowe. Pisał, że został ranny, szczęśliwie bo tylko

w palec. Przyszedł jeszcze drugi list, a potem już nie było nic wiadomo.

Do Dubna przybywało coraz więcej uciekinierów cywili oraz żołnierzy z rozbitych jednostek wojskowych. Na drogach stały porzucone samochody niesprawne z powodu braku paliwa, leżały zabite konie, trupy ludzkie. Któregoś dnia pod wieczór na schodach domu, w którym mieszkaliśmy rozlokowali się licznie jacyś piloci, z rannym dowódcą. Pamiętam, że miał ramię na temblaku. Ale oni byli jeszcze weseli, śpiewali „Marsylianke”. Może była to cała eskadra. Dowódcę zaprosiliśmy do naszego mieszkania. U nas przenocował i opowiadał nam o walkach w sposób dość optymistyczny. Był w dobrym nastroju. Pozostali piloci nocowali u nas na schodach bo nie było miejsca w mieszkaniu. Oczywiście byli przez nas częstowani jedzeniem, którego niewiele miałyśmy. Wtedy nieraz wspomagaliśmy żołnierzy z rozbitych jednostek. W ogóle w czasie kampanii wrześniowej ludność cywilna chętnie niosła pomoc walczącym żołnierzom.

Naloty i bombardowania miały miejsce kilka razy dziennie. W Dubnie były koszary, stacja kolejowa, duże zakłady mięsne, które Niemcy obierali jako cel ataku powietrznego.

Pierwsza połowa września była bardzo upalna. Sady obrodziły owocami. Z powodu braku jedzenia, chodziło się do tych sadów, które były już bezpańskie. I tak ludzie ratowali się przed głodem. Nasz dzierżawca przyjechał z Kraśnicy, aby zabrać nas na wieś. Nie wiem dlaczego Mama nasza na to nie pozwoliła. Widocznie wolała pozostać w mieście i nas mieć przy sobie. Przywiózł nam trochę produktów bo zapasów żywności u nas nie było. Ludzie nawzajem bardzo pomagali sobie, dzielili się czym kto miał. Panowała ogólna życzliwość. Tak dzieje się w obliczu zagrożenia. Dubno rozkopano budując schrony, których dla wszystkich nie starczyło. Chowano się więc w piwnicach. Mieszkaliśmy obok zamku Ostrogskich, w którym ludność również znajdowała schronienie.

Już w połowie września czuło się, że chyba wojnę przegramy. Coraz więcej widzieliśmy żołnierzy z rozbitych jednostek. Wracali smutni, coraz więcej uciekinierów z zachodu. Bombardowanie jakby ustało, ale nadziei na spokój nie było. Brak żywności dokuczał. Rarytasem był chleb ze smalcem. Po ulicach snuli się ludzie smutni i zabłąkani. Nie wiadomo było jakie są władze i czy w ogóle są. Ciągłe przemarsze wojsk polskich sprawiało wrażenie, że front cofa się na wschód. O naszym Ojcu nic nie wiedziałyśmy. Pieniądze, które mama posiadała zupełnie straciły wartość. Żywność kupowało się na wsi w zamian za odzież. Mimo to nigdzie nie ruszałyśmy się bo czekałyśmy na Ojca. Moje koleżanki i koledzy porozjeżdżali się. Przybywało coraz więcej uciekinierów z zachodu. Nie wiedzieli, że czeka ich najazd sowiecki i wywózka na Sybir.

17 września 1939 roku

W nocy z 16 na 17 września 1939 roku usłyszeliśmy jakby przemarsz wojsk. Równocześnie odezwały się strzały. Wyglądało, że rozpoczęła się walka. Nikt nie wiedział kto z kim walczy. Ludzie ostrożnie wyglądali przez okna. W ciemności

nie odróżniano tych wojsk. Myślano, że Niemcy już zajmują miasto, a pozostałe polskie jednostki wojskowe jeszcze się bronią. Ta strzelanina trwała do rana. My z Mamą leżałyśmy cały czas na podłodze w naszym mieszkaniu, odmawiając pacierz, drżąc ze strachu. Były wypadki, że zbłąkane kule trafiały w okna.

Rano 17 września już było wiadomo, że na nasze tereny wkroczyła armia sowiecka. Podobno w nocy polskie oddziały, które wycofywały się na wschód usiłowały zagrozić drogę jednostkom sowieckim. Wywiązywały się małe potyczki. Pamiętam dobrze ten dzień i te wojska sowieckie, te skośne oczy. Żołnierze jechali wozami ciągnionymi przez małe koniki. Uprząż powiązana sznurkami. Ubrani byle jak. Dużo skośnookich. Na plecach jakieś worki, podarte obuwie. Sprzęt wojskowy również ciągnęły małe konie. Widać było, że ludzie i konie są głodni. Każde przydrożne drzewo owocowe zostało natychmiast ogołocone z owoców, a przydrożne ogrody z warzyw. Jedli surowe warzywa i zbierali do worków – plecaków powiązanych sznurkami. Odnosiło się wrażenie, że nigdy niczego nie widzieli i zawsze byli głodni. Nędzne i biedne wojsko. Nikt z Polaków nie wychodził na ulicę. Obserwowano sytuację z ukrycia. Bano się ich, wyglądali strasznie.

Powitanie wojsk sowieckich zgotowali komuniści, wśród których dominowali Żydzi z czerwonymi opaskami. Witano ich kwiatami, były przemówienia.

W Dubnie nie było wodociągów, więc wodę wozili w beczkach i nosili do domów przeważnie Żydzi. Dla nas usługę tę sprawowała Żydówka Perla. Z chwilą wkroczenia wojsk sowieckich, powiedziała mojej Mamie, że teraz to my jej będziemy nosili wodę, bo czasy odmieniły się. Nastąpiła dla nich wolność spod pańskiej Polski. Ciekawe, co się z nią stało.

Część sowieckiego wojska została w Dubnie i zaczęły się sowieckie rządy. Zdarzały się rabunki domów, magazynów. Żony dowódców, które prawie natychmiast przyjechały za mężami też przedstawiały obraz nędzy. Każda była w kapełuszu czerwonym lub zielonym, na nogach walonki i byle jakie ubranie. Ale już po tygodniu chodziły po mieście „wystrojone” w nocne koszule damskie, w pasy do podwiązek noszone na spódnice itp. Było jeszcze ciepło, więc mogły prezentować takie stroje budzące odrazę i świadczące o prymitywizmie tych ludzi. Widziałam też taki obrazek: Jacyś dwaj żołnierze zrabowali duży dywan, rozłożyli na chodniku, przecięli na połowę i każdy wziął jedną część. Obaj byli zadowoleni. To była dzicz, która dorwała się do dóbr dzieląc je po swojemu.

Zaczęły się też różne „mityngi”, wiece, ustawianie na ulicach gwiazd, portretów Lenina i Stalina. Wszystko to było w podzięcie za „wyzwolenie” tych naszych wschodnich terenów od „panów” i oficerów. Słyszałam o takim zajściu: Pewna kobieta wiejska stanęła przy jednym z portretów i zaczęła wymieniać: dziękujemy ci Stalinie, że nas wybawiłeś od chleba, słoniny itp. Została natychmiast aresztowana.

W ogóle zaczęły się aresztowania, internowania wojskowych i cywilów. Prawie codziennie widziało się jakieś oddziały wojsk polskich, niedobitki, które pędzone przez Niemców wpadały w pułapkę wojsk sowieckich. Smutny to był widok. Szli razem w jednej kolumnie szeregowi i wyżsi oficerowie. Wszyscy jeszcze w polskich mundurach lecz pozbawionych dystynkcji, naramienników i oczywiście

broni. Płaszczki i mundury nosiły ślady kul, niektórzy byli ranni. Szli z podniesionymi do góry rękami, co miało oznaczać że poddają się dobrowolnie. Przez Dubno tylko przechodzili, pędzono ich dalej na wschód do obozów.

W tym czasie o naszym Ojcu jeszcze nic nie wiedzieliśmy i dlatego zawsze przypatrywałam się tym kolumnom szukając znajomej twarzy. A żołnierze sowieccy rabowali co mogli, byli bezkarni, nic nie kupowali tylko zabierali. Szkoły były nieczynne, młodzież wałęsała się beczynnie. Sklepy ogołocono z towarów, brakowało chleba. Panowało ogólne przygnębienie. Zaczęto rejestrować ludzi i ich dobytek: rowery, maszyny itp. Dokonywano wywłaszczenia ziemian i bogatych chłopów. Żołnierze sowieccy, którzy zetknęli się z obfitością jedzenia, nie powstrzymywali się od grabieży. Szczególnie interesowały ich zegarki. Pewien sowiecki oficer zaniósł do zegarmistrza budzik i kazał przerobić go na ręczny zegarek. Były też akty zemsty przez miejscowych Żydów, Ukraińców, Rusinów. Kto miał do kogoś złość, to donosił sowieckim władzom. Były porachunki osobiste. Stosowano rozmaitego rodzaju podstępny. Kazano o określonej godzinie zebrać się wszystkim mężczyznom w jakiejś miejscowości pod pozorem zebrania, po czym wszystkich aresztowano.

Ponieważ wielu ludzi uciekało wtedy przez zieloną granicę pod okupację niemiecką, do Rumunii lub na Węgry, NKWD zorganizowało sieć przewodników, do których docierali chętni do ucieczki. W rezultacie wpadali na granicy w ręce NKWD.

Na początku października 1939 r. nadeszła wiadomość od mojego Ojca. Przywiózł ją jakiś wieśniak, który zjawił się w Dubnie z listem do nas. List pisany przez Ojca zawierał parę słów: „jestem zdrowy, mieszkam w Łucku u szwagra, przyjeżdżajcie do mnie tą furmanką”. Żadna komunikacja już nie jeździła. Naturalnie wielka radość, że żyje, ale i obawa jak zawieźć na lichej furmance wieśniaczej nasz dobytek. Mama postanowiła, że jeszcze tego samego dnia wyjechałyśmy z Dubna do Łucka. Ojciec nasz po szczęśliwym powrocie z frontu bał się wracać do Dubna, gdzie wszyscy go znali. Zatrzymał się w Łucku. Miał wielkie zasługi w walkach podczas pierwszej wojny światowej oraz w wojnie polsko-bolszewickiej. Posiadał wiele odznaczeń. Polacy aktywnie uczestniczący w odpieraniu komunistycznego wroga ze wschodu, byli szczególnie narażeni na aresztowania i odwet Rosjan. Dlatego mój Ojciec nie wrócił do domu, a nas prosił o przyjazd do niego.

I tak w pierwszych dniach października pożegnałam moje ukochane Dubno na zawsze. Zabrałyśmy ze sobą tylko osobiste rzeczy, trochę odzieży i jedzenie na drogę. Mieszkanie Mama zamknęła na klucz, w nadziei, że jeszcze wrócimy, ale to już nie zdarzyło się nigdy. Nie wiem co stało się z naszymi meblami i innymi rzeczami. Po latach, gdy odwiedziłam Dubno (1968 r.), mieszkali tam ludzie obcy, przybysze z głębi Związku Sowieckiego. Byłam nawet u nich i spostrzegłam nasz stół stojący w korytarzu, który poznałam po inicjałach wrytych dla zabawy przy odrabianiu lekcji. Jeździłam też do naszej wsi Krańnicy Ułańskiej, ale zorganizowano tam kołchoz. Miedze zaorane, budynki zburzone, nic nie pozostało z tego co było mi znajome. Nie umiałam nawet poznać, gdzie stał nasz dom. Wszędzie tylko pola, nawet drogi zaorane.

Pamiętam jak dziś ten smutny dzień, gdy opuszczałam moje rodzinne miasto. Z nikim nie mogłam pożegnać się bo nasz wyjazd ze względu na Ojca miał być tajemnicą. Usiadłyśmy więc na ten nędzny wóz, Mama, siostra Maria (Niunia) i ja. Mieszkaliśmy w śródmieściu, więc musiałyśmy przejechać przez całe miasto. Nie rzucało się to szczególnie w oczy bo takich jak my było wiele rodzin. Wyglądało to śmiesznie. My z siostrą ubrane przyzwoicie z miejska, Mama również, chyba nawet miała kapelusz (bez kapelusza nigdy nie wychodziła z domu), jakaś walizka, jakiś kosz i tu nędzna furmanka wyścielona słomą ciągnięta przez jedną szkapę. Uśmiecham się na wspomnienie. Teraz po latach, gdy wspominam naszą wędrówkę, śmieję się do siebie. Jak to zabawnie musiało wyglądać, ale wtedy jakże szczęśliwe byłyśmy, że jedziemy do Ojca i brata Mamy. Będziemy miały opiekę bo nasza Mama była bardzo niezaradna. Wtedy to ostatni raz widziałam Stacha, stał z kolegą, a ja nie miałam odwagi pomachać ręką na pożegnanie. Teraz po latach ten jeden jedyny dzień wspominam, wraca do mnie jak echo. Pożegnanie z ukochanym miastem, właściwie pożegnanie z moim dzieciństwem. Potem mimo młodego wieku, stałam się dorosła, samodzielna, odpowiedzialna. Zaczęło się dla mnie tułaczkie życie. Żegnaj dzieciństwo i kochane miasto!

Z Dubna do Łucka było 54 km. Jechałyśmy cały dzień. Miałyśmy przeprawę z naszym woźnicą, który w połowie drogi zażądał od Mamy dodatkowej zapłaty w złocie bo w przeciwnym razie zostawi nas same na drodze. W liście od Ojca było zaznaczone, że jest opłacony z góry.

W owych czasach zdarzały się takie wypadki, gdy jedni ledwo uciekali z życiem, drudzy żerowali na nich okradając ich mieszkania. Gdy zaczęło się bombardowanie miast, ludzie uciekali z domostw. Wieśniacy zaś przyjeżdżali furmankami po ich dobytek. Hieny zawsze były i są.

Mama załagodziła nieuczciwe zapędy owego wieśniaka jednym pierścionkiem.

Jesteśmy już w Łucku, radosne przywitanie z Ojcem. Z jego opowiadań pamiętam, że sam poprosił dowódców, aby go skierowano na front. Niedługo jednak trwała Jego walka. Gdy już było wiadomo, że zbliża się klęska naszych wojsk, że trzeba wycofać się na wschód i na południe, został przydzielony jako ochrona taboru wiozącego jakieś papiery, pieniądze i inne ważne rzeczy. Jechali na południe w stronę Zaleszczyk, aby skierować się ku rumuńskiej granicy. Z tego zrozumiałam, że razem z naszym rządem wywożono do Rumunii coś bardzo ważnego. Trasa wiodła od Warszawy przez Brześć, Kowel, Łuck i dalej na południe. Ponieważ nasz Ojciec nie wiedział co się działo z nami, ale przypuszczał, że możemy być w Łucku. Spowodował, żeby samochód, którym jechał skręcił w ulicę, gdzie mieszkał Mamy brat. Poprosił kierowcę, aby na chwilę zatrzymał się przed tym domem, a On tylko wejdzie, zapyta o nas i zaraz wróci. Długo to nie trwało, ale niestety gdy wyszedł pojazdu już nie było. Przypuszczał, iż wojsko sowieckie zgarnęło ten samochód wraz z wiezionym dobrem lub po prostu kierowca bojąc się, że to może nastąpić, ruszył w dalszą drogę. I tak został w Łucku nie przeczuwając co go tu spotka. Przebrał się w cywilne ubranie, zdał broń i myślał o przedostaniu się do swego miejsca

urodzenia t.j. na Lubelszczyznę. A były to czasy kiedy jedni ludzie uciekali z Niemiec do Związku Sowieckiego, a inni ze Związku (od bolszewików) do Niemiec. Nikt nie wiedział gdzie będzie lepiej. Tak to nasz Ojciec postanowił przejść „zieloną granicę” z przewodnikiem sowicie opłaconym. Były już wyrobione dokumenty na inne nazwisko i 11 listopada 1939 r. w nocy miał być przeprowadzony. Niestety przewodnik okazał się zdrajcą. Wieczorem tego dnia otoczyli nasz dom NKWD-iści z bagnetami na karabinach. Przyszli aresztować naszego Ojca. Zrobili rewizję, zabrali co cenniejsze przedmioty, dokumenty. Mnie i Mamie nie pozwolili zbliżyć się do Ojca. Nałożyli kajdanki na ręce i wyprowadzili do samochodu. Tyle lat już minęło, a ja ciągle mam przed oczami ten widok. Skute ręce, węzełek jakby kanapka, na nogach pantofle bo było jeszcze ciepło.

Od tej pory ślad po Ojcu zaginął. Mama pytała w Kijowie i we Lwowie i jeszcze w innych miastach dokąd został wywieziony. Żadnych wiadomości.

Ja i siostra chodziłyśmy do gimnazjum polskiego w Łucku. Było też żydowskie, rosyjskie i ukraińskie bo takie utworzyli sowioci. Nauka odbywała się na dwie zmiany z powodu bardzo dużej ilości uciekinierów, którzy także się uczyli. Jeśli były przepełnione jedne klasy, to uczniów przesuwano do innych nie zwracając uwagi na roczniki. Ja byłam uczennicą pierwszej klasy, a czasem siedziałam w drugiej lub trzeciej. Był obowiązek uczenia się. Nikt nie przywiązywał wagi do stopni. Władze sowieckie pilnowały tylko tego, aby młodzież i dzieci przebywały w szkole, to wystarczało. W ten sposób chodząc po różnych klasach miałam same oceny niedostateczne. Jak można było uczyć się, gdy w nocy stało się w kolejce po chleb, a w ciągu dnia należało przebywać w szkole. Stanie w nocnych kolejkach też czasami było zabawne. Cała młodzież wychodziła z domu przynosząc z sobą coś do rozpalenia ogniska (papiery, drewno ze starych mebli, słomę). W zimie, gdy panowały silne mrozy, bez ogrzewania się nad ogniskiem nie można byłoby wystać w kolejkach przed sklepami. A mrozy 1940 roku osiągały temperaturę do -30°C. Mówiono, że to sowioci przynieśli z sobą tak srogą zimę. Jak można było uczyć się w takich warunkach. Zresztą wszyscy wierzyli, że to wszystko rychło się skończy.

Już w styczniu 1940 r. dochodziły wieści, że zaczęły się wywózki ludności polskiej na Sybir. Na stacjach stały tak zwane „ciepluszki”, bydłce wagony, którymi jak mawiano będą wywożeni Polacy. Nasza mama nie mogła uwierzyć w to, że nas też mogą wywieźć. Inni ludzie uciekali do innych miast, przekraczali „zieloną granicę”, a my ciągle czekałyśmy, że wróci nasz Ojciec. Zresztą dokąd miałybyśmy uciekać. Łuck to było znajome nam miasto i tu czułyśmy się bezpiecznie u wujka, który był aptekarzem i wówczas coś zarabiał w upaństwowionej aptece. Innych dochodów nie mieliśmy. Pieniądze, które wypłacono naszemu Ojcu po kapitulacji, słynne pięciusetzłotowe „dębaki” straciły ważność. Niewielka ich ilość została wymieniona wcześniej po bardzo niskiej cenie, reszta przepadła. Dobrze, że dom był duży, więc mieszkali u nas na stacji uczniowie ze wsi, którzy płacili żywnością. Byli różni, chodzili do gimnazjum rosyjskiego, polskiego, ukraińskiego. Wynikały z tego niekiedy narodowościowe konflikty. Wtedy traktowano je jako młodzieńcze „gorące głowy”. Potem okazało się, że były to już nacjonalistyczne zapędy, podsycane przez bolszewików, a potem przez Niemców, których ofiarą stało się wielu

Polaków.

W Dubnie miałam kolegę, syna komisarza policji. Przyjaźniliśmy się. Był trochę starszy, chodził do trzeciej klasy gimnazjum. Będąc dość wysoka jak na swój wiek, miałam zwykle koleżanki i kolegów starszych od siebie. W listopadzie 1939 roku przyszedł piechotą z Dubna do Łucka. Nazywał się Józek Leis. Był w drodze do Szepietówki, wówczas miasta granicznego. Od niego dowiedziałam się, że jego ojciec jest internowany i tam przebywa. Powziął więc zamiar wymienienia go i chciał się ze mną pożegnać (wtedy jeszcze taka była młodzież). Od tej pory ślad po nim zaginął, prawdopodobnie nie został wymieniony na ojca, lecz razem z nim internowany jako jeńiec wojenny i rozstrzelany. Po latach dowiedziałam się, że jego ojciec figuruje w spisach rozstrzelanych jeńców, a o nim niczego nie zdołałam się dowiedzieć.



Wawrzyniec Kowalski mój wuj (brat Mamy)

W ogóle wtedy żyło się w ciągłym strachu, że coś się stanie. Każdy przeżyty dzień był darowany. Nawet nie pamiętam pierwszej wigilii 1939 roku bez Ojca. Musiała być bardzo smutna. Jak już wspominałam rozrywką były kolejki za chlebem, cukrem no i chodzenie do szkoły bez książek, poznawanie coraz to no-

wych uczniów, uciekinierów z pod okupacji niemieckiej. Wtedy chodziły wieści, że Niemcy już mordują, więc tu czuli się bezpiecznie. O, jak przeliczyli się, prawie wszyscy wylądowali na Syberii podczas trzeciej wywózki w czerwcu 1940 r., a potem w czerwcu 1941 r. na dzień przed wybuchem wojny niemiecko-sowieckiej. Ci mordercy zdążyli jeszcze na dzień przed wybuchem wojny t.j. 22 czerwca 1941 r. wywieźć wszystkich uciekinierów. Najwięcej było Żydów spod okupacji niemieckiej. Dopiero będąc już w Kazachstanie dowiedzieliśmy się o nich bo zostali przywiezieni do nas. Z nimi żyliśmy w zgodzie, nawet pomagali nam, bo byli zamożni. Pochodzili przeważnie z Białegostoku i okolic. Ja ze wszystkimi byłam zaprzyjaźniona. Bywały też kłótnie, bo Żydówki wykorzystywały nas uchylając się od pracy. Był też jeden chłopak, który nie przyznawał się, że jest Żydem. Miał 18 lat. Podobno podobałam się mu. On woził do traktorów paliwo, które było cenne, gdyż służyło do oświetlania ziemianki. Zawsze dawał mi butelkę tego paliwa, które mogłam też sprzedać. Razem wracaliśmy do Polski w jednym wagonie. Wywiązała się między nami przyjaźń z obietnicą spotkania. Niestety my zostałyśmy w punkcie zbornym w Poznaniu, on wyjechał do Szczecina, a stamtąd do Izraela. Jakiś czas korespondencja trwała, młodość ma swoje prawa. Potem poznałam innych chłopców i urwała się, czego obecnie żałuję. Na starość chciałabym wiedzieć coś o nim.

Kazachstan

Od miesiąca lutego 1940 r. zaczęły się wywózki Polaków do Rosji. 10 lutego wyjechał na Sybir transport złożony z leśników, osadników. 13 kwietnia – rodziny aresztowanych lekarzy, sędziów, nauczycieli, urzędników państwowych oraz rodziny oficerów polskich, wśród których i my z Mamą i siostrą Marią znalazłyśmy się. Ta grupa została wywieziona do Kazachstanu. Następną wywózka odbyła się w czerwcu i objęła wszystkich pozostałych. Łącznie przymusowo wysiedlono w głąb Rosji około 2,5 mln. Polaków.

W nocy z 12 na 13 kwietnia 1940 roku do naszego domu w Łucku wtargnęli milicjanci, NKWD-iści i jacyś cywile, wszyscy z bronią w rękę. Dom był otoczony przez uzbrojonych osobników. Wpierw przeprowadzili rewizję, potem odczytali nam wyrok, że jesteśmy skazane na więzienie i zostaniemy przesiedlone w głąb Związku Sowieckiego celem odbycia kary. Kazali nam pakować nasze rzeczy i dali na to pół godziny czasu. Nasza Mama dostała szoku, była nieprzytomna, zamiast ubierać się coś krzyczała i zdejmowała nałożone ubranie. Ja z siostrą byłyśmy bezradne. W konsekwencji nic nie wzięłyśmy, tylko to co miałyśmy na sobie. Jakiś żołnierz zlitował się i zawiązał nam tylko w prześcieradło naszą pościel z łóżek, na których spałyśmy. Kazano nam wsiadać do ciężarowego wozu. Wtedy był mróz, mimo kwietnia dochodzący do -20°C. Brat mojej Mamy, który mieszkał z nami nie był wpuszczony do nas i nie mógł nam pomóc w pakowaniu. Potem dowiedzieliśmy się, że Kazano mu razem z rodziną Wyjechać do miasteczka oddalonego od Łucka o około 15 km, które nazywało się Sienkiewiczówka. Objął tam kierow-

nictwo apteki. Celem tych działań było opróżnienie naszego domu, który został przeznaczony na siedzibę NKWD w Łucku. Wiem, że inne rodziny zachowując przytomność umysłu, wzięły ze sobą dużo jedzenia, rzeczy, ubrań, bielizny itp. My z siostrą zamiast zabrać chociaż bochenek chleba i słoniny, wzięliśmy nasze szkolne teczki z książkami, mundurki szkolne i zupełnie niepotrzebne drobiazgi, które akurat były pod ręką. Gdybyśmy wzięły jakieś rzeczy czy ubrania, mogłybyśmy na Syberii wymienić je na żywność i zboże.

W tej ciężarówce była już jedna rodzina i też tak jak my niewiele rzeczy wzięła ze sobą. Zawieziono nas na stację kolejową w Kiwercach koło Łucka. Tam kazano przejść do wagonów bydłych, w których były tylko puste deski, a w rogu otwór w podłodze służący za ubikację. Na tej stacji trzymano nas trzy dni, nie dając nic do jedzenia i picia. Czekano aż cały skład pociągu będzie wypełniony takimi jak my nieszczęśnikami. Dopiero trzeciego dnia dano do jedzenia śledzie solone, nie dając wody. Starsi i młodzież jakoś wytrzymywali, ale dzieci małe bardzo płakały, a matki były bezradne. Miejscowa ludność chciała przyjść z pomocą, bo wiedziała kogo wiozą, ale żołnierze z bagnetami wszystkich odpędzali, a wagony były zaplombowane od zewnątrz. Kiedy już wypełniono cały skład, pociąg ruszył. Nie wiedzieliśmy dokąd nas wiozą. Raz zdawało się, że na wschód, a raz, że na północ. Tak jechaliśmy przez 17 dni. Raz dziennie otwierano wagony i wyznaczonymi trójkami kazano iść na stację po chleb i gorącą wodę tzw. „kipiatok”. Ani tego chleba, ani wody nie starczało dla wszystkich. Dzielono przede wszystkim rodzinom z małymi dziećmi i starcom. Reszta głodowała. Zdarzały się wypadki, że ludzie umierali w drodze. Wówczas zostawiano ich na stacjach. W wagonie po jednej i drugiej stronie zrobiono piętro z desek. Moja rodzina ulokowała się na dole. Wkrótce wszyscy zżyliśmy się, tworząc jedną dużą biedną rodzinę. Wszyscy razem modliliśmy się. Moja Mama odzyskała przytomność dopiero w wagonie, bo do tej pory nie wiedziała co się dzieje. Pytała jakim sposobem znalazłyśmy się w pociągu. Był to dla niej cios. Nikczemne działania bolszewików poznała już w czasie pierwszej wojny światowej.

Jechaliśmy przez takie miasta jak: Łuck, Kiwerce, Żytomierz, Homel, Orzeł, Tuła, Penza, Piertopawłowski, Świerdłowski, Omsk, Tomsk oraz Pawłodar, gdzie kończyła się linia kolejowa. Kazano nam wysiąść na stacji i czekać aż przyjadą po nas furmankami z kolchozów. Stacja była w szczerym stepie, na około tylko piasek. Tak nas zostawiono do rana. Nocowaliśmy skupieni wokół siebie. A było to 1 maja 1940 roku. Gdy przyjechały furmanki, wsiedliśmy po dwie rodziny i jechaliśmy cały dzień (ok. 70 km) do kolchozu niemieckiego o nazwie Rote Fahne¹. Na miejscu uroczystie świętowano 1 maja. Był to kolchoz dość zamożny. Zaraz na drugi dzień był rozkaz, abyśmy się zameldowali w kantorze. Od tego dnia musieliśmy się meldować codziennie, aby nie przyszła nikomu chęć ucieczki. Naturalnie od razu zapędzili nas to roboty. I to do jakiej?! Ugniataliśmy nawóz nogami. Kto miał jeszcze jakieś obuwie to zostawił je w tym gnoju, bo miejscowi wykonywali tę czynność boso. Przedstawicielem tego kolchozu był Rosjanin komunista, wyjątkowo wredny

¹ z j. niemieckiego Rote Fahne oznacza Czerwony Sztandar.

i mściwy.

Z początku miejscowa ludność odnosiła się do nas z rezerwą. Powiedzieli im, że z Polski przywieziono kobiety lekkich obyczajów i zalecono nie zbliżać się do nas. Po jakimś czasie jednak nawiązaliśmy z nimi kontakt. Tubylcy dziwili się, dlaczego pośród nas jest tak wiele dzieci, starych kobiet i mężczyzn. Po bliższym poznaniu zaczęli nam współczuć, bo oni – Niemcy też dużo ucierpieli od Związku Sowieckiego.

I tak pracowaliśmy bez żadnej zapłaty, bo w kołchozie obowiązywał rok obrachunkowy i były tylko zapisywane tzw. „trudodni”. Aby przeżyć, kto co miał, wymieniał na żywność. Pierwsze miesiące jakoś żyliśmy z tego, ale potem gdy skończyły się zapasy zaczął doskwierać głód. Odczuwaliśmy brak witamin, szerzyły się choroby. Mieszkaliśmy w lepiankach po dwie rodziny. W piecu paliliśmy zbieranym nawozem krowim tzw. „kiziakami” oraz piołunem, który rósł w stepie. Miał wysokość człowieka. Pracowaliśmy od świtu do późnej nocy przy różnych pracach polowych bez żadnej zapłaty przez całe lato. Mama nasza po kilku miesiącach ciężko zachorowała. Nie było wiadomo na co, brakowało lekarza. Cały czas leżała. Potem siostra Maria zachorowała na cyngę (szkorbut). Ja też chorowałam na tę chorobę, ale trochę lżej, więc mogłam chodzić. Gdy siostra już była nieprzytomna, ktoś z kołchozu zawiózł ją do szpitala w Pawłodarze. Było to na jesieni 1940 roku. Od tej pory nie wiedziałyśmy co się z nią dzieje. Nie było czym pojechać do niej, a zresztą obie z Mamą też byłyśmy chore. Myślałyśmy, że już umarła. Zimą 1940/41 roku wszyscy Polacy chorowali. Do cyngi dołączył się tyfus jako efekt braku jedzenia i mydła. A zima była okrutna (-40°C). Ubrań ciepłych nie mieliśmy. Miejscowa ludność trochę nas ratowała dając jakieś stare obuwie i odzież.

Siostra Maria była w szpitalu całą zimę roku 1940/41. Chyba sam organizm zwalczył tę chorobę, bo oprócz kawałka chleba i ciepłej herbaty nic jej nie dawali. Żadnych leków. Leżenie w szpitalu było dla niej o tyle korzystne, że nie musiała chodzić do pracy. Miała swoje łóżko i leżała w ciepłe. Wspomina, że gdy znalazła się na sali pełnej chorych, przestraszyła się widokiem człowieka z ogromną, spuchniętą głową. Pacjent ten widząc jej przerażenie powiedział: „nie bój się, ja jestem Polakiem”. Słowa te uspokoiły ją. W szpitalu było ciepło i dodatkowo dawali codziennie kostkę cukru. Parę zaoszczędzonych kostek przywiozła Mamie. Mile wspomina pewnego chłopca narodowości kazachskiej, który codziennie przychodził do jej sali i grał na harmonii. Widocznie darzył ją sympatią, miała wtedy 16 lat. Wyszła ze szpitala wiosną 1941 roku. Przywiozł ją z litości jakiś kierowca, który akurat jechał z Pawłodaru do naszego kołchozu (Skłamała bo przyszła piechotą).

Tak żyłyśmy w nędzy i głodzie. Dzień 24 grudnia – wigilia – był zawsze najpiękniejszym dniem rodzinnym, a tu był najsmutniejszym. Silny mróz, niebo roziskrzone gwiazdami. Byłyśmy tylko we dwie z Mamą, do tego chore. Nie bardzo pamiętam co jadłyśmy, chyba jakieś „lepioszki” i gorzka herbata – skropione łzami. Na stoliku stało zdjęcie naszego Ojca. Głodne kładłyśmy się spać, a śniły się pełne półmiski.

1 styczeń 1941 r. Nowy Rok – wolny od pracy. Mróz coraz większy. Zdrowsi ściągają skąd mogą opał by nie zamarznąć. Ja, chociaż jeszcze chora, muszę już cho-

dzić do pracy, aby dostać kawałek chleba.

6 stycznia – Trzech Króli – mróz zelżał z 56°C do 55°C i ten jeden stopień zadecydował, że musieliśmy w to nasze święto iść do pracy. W takiej temperaturze para chuchnięta z ust natychmiast krzepnie. Nie mieliśmy ciepłego obuwia, ja odmroziłam sobie palec u nogi. Bolał bardzo, gdyż czubek palca przywarł do obuwia. Z pracy nikt nie zwalniał, więc sycząc z bólu musiałam dotrwać do końca.

Po pracy zarabiałam szyciem lub wyszywaniem, bo miałam trochę nici. Odbywało się to w nocy przy tzw. „kopiłce”. Była to butelka napełniona niewielką ilością nafty i sznurkiem służącym za knot. Rano budziłam się z czarnym nosem od sadzy.

Dopiero po ogłoszeniu dla nas amnestii w październiku 1941 roku, pozwolono nam pracować za wynagrodzeniem. Co prawda bardzo małym, ale za nie można było kupić w sklepie trochę soli czy cukru. Zdrowsi Polacy zaczęli wyjeżdżać do miasta Pawłodaru, a niektórzy dostali się do armii gen. Andersa. Tak wyjechała moja najlepsza koleżanka Iza Horbuzówna, z którą mieszkalam w jednej izbie w kołchozie Rote Fane. Po wyjeździe wszystkich Polaków, zostałyśmy w kołchozie tylko my – trzy. Mama nasza była ciągle chora. Potem przeniosłyśmy się do sąsiedniego sowchozu „Zangar”, gdzie było więcej Polaków i tam zaczęłyśmy z siostrą pracować za miesięcznym wynagrodzeniem. Było to przedsiębiorstwo państwowe i obowiązywały inne zasady.

W naszej lepiance mieszkały trzy rodziny: pani Latosińska, pani Kulinowska i my. Pośrodku niej była jedna płyta, w której paliło się piotunem i „kiziakami”. Póki tlił się ogień to było ciepło, potem zamarzała woda. Za łóżka służyły deski na tzw. kozłach. Podłogi nie było tylko ziemia. Gnieździło się tam wszelkie robactwo: pchły, pluskwy, wszy, karaluchy. Nie było żadnej higieny, odczuwaliśmy brak mydła, szerzyła się wszawica. W czasie zimy i silnych mrozów, studnie zamarzały, a wodę zastępował topiony śnieg. Podczas silnych zamieci tzw. „buranów” cały sowchoz był zasypany śniegiem. Rano, gdy trzeba było wyjść do pracy, robiło się tunel nad drzwiami i przy pomocy stołków wychodziło się na dwór. Natomiast jak wracało się z pracy, to tylko po kominie można było poznać swoją lepiankę. Śnieg był tak ubity, że po nim można było chodzić jak po drodze. Tunele zrobione rano były w ciągu dnia zasypywane. Aby wejść do środka lepianek należało je ponownie przekopywać. Do paliwa zgromadzonego podczas lata i złożonego obok lepianki też nie można było się dostać. W związku z tym panowało zimno i nie było czym przykryć się w nocy. Tuliłyśmy się do siebie i tak własnym ciałem grzałyśmy się. Dopiero jak ucichł „buran” odkopywałyśmy lepianki i opał. Straszne to było, nie dość, że głodno to jeszcze chłodno.

W zimie chodziliśmy do pracy na tzw. „śniegozadzierzanie”. Najgorzej było podczas „buranu”. Duża zamieć śnieżna powodowała, że nie było widać, obok kogo się stoi. Należało wtedy idąc trzymać się za ręce, żeby nie zablądzić i nie zamarznąć w stepie. Czasami w takim marszu trzymaliśmy się sznurka, aby nie zgubić się i nie zejść z obranej drogi. Praca polegała na usypywaniu dużych wałów ze śniegu, które miały zmniejszać skutki zamieci. Podczas takiej pracy w stepie można było natknąć się na zamarzniętego człowieka, który zblądził. Leżał tak aż do roztopów,

jeżeli go wcześniej nie zjadły wilki. Tego baliśmy się najbardziej.

W sowchozie Zangar mieszkańcami byli Kazachowie. Żyło tam też niewielu Rosjan i Niemców, którzy przeważnie pełnili jakieś funkcje. Z Kazachami pracowaliśmy w polu oraz przy hodowli bydła. Byli mahometanami i z tego wynikały różne nieporozumienia. Kiedy pracowałam raz z Kazachem na traktorze i daleko było do wyrobienia normy w orce, a zbliżał się wieczór, ten ukląkł na ziemi i zaczął modlić się, aż zrobiło się ciemno. Normy nie wyrobiliśmy i nie dostaliśmy przydziału chleba. Takie sytuacje często zdarzały się. Lepiej było pracować z Rosjanami.

Świąt Wielkanocnych nigdy nie obchodziliśmy. Po pierwsze nie wiedzieliśmy, kiedy wypadają (nie mieliśmy kalendarza), a po drugie, nie było nigdy dni wolnych od pracy. Miejscowi Rosjanie, czy Niemcy obchodzili Wielkanoc na 1-go maja, bo to był dzień wolny od pracy. Zresztą, jakie to święta, kiedy zawsze panował głód. A w pracy zapominało się o świętach. Jedno, co przypominało nam Ojczyznę, to wiosenny step. Wprawdzie wiosna tam trwała zaledwie trzy tygodnie, ale wtedy step rozkwitał cudnymi kwiatami. To wprost nie do uwierzenia. Tam kwitły tulipany, narcyzy, hiacynty, wszystkie drobne, ale takie piękne. Zielen soczysta, dziki czosnek, szczaw. Wiosną step nas karmił. Zbieraliśmy szczaw, czosnek. Rosła taka trawa, z której nasion robiliśmy „lepieszki” (placki). Ale nie trwało to długo. Przyszło słońce, upały do 40°C i step zamieniał się w spalony słońcem ugór. Jak okiem sięgnąć pustka, ani jednego drzewa. A reszty dopełniały tabuny bydła i owiec oraz wielbłądy. Nigdy w Polsce nie widziałam tak pięknych kwiatów, które tam rosły w stepie. Ziemia tam była piękna i zdaje się jak można było nazwać ją „nieludzką”. Jednak dla nas była nieludzka, mimo swojej urody. Nigdy nie padał deszcz. Raz tylko była ulewa. Wiosna i lato trwało do sierpnia. Już we wrześniu zaczynały się mrozy. Ledwie skończyły się żniwa. Zbieraliśmy kłosy przymarzniete do ścierniska co było zabronione. Jak zobaczył to brygadier, bił nahajką. Mimo to zawsze udało się trochę kłosów schować, zaś ziarno zemleć w żarnach, których posiadanie też było zabronione. Ale z głodu człowiek staje się odważny. W żarnach męło się pszenicę, proso, jęczmień (żyto tam nie rodziło) nie odsiewając plew. Piekło się placki, które nadzwyczaj smakowały.

Do sklepu nie zawsze przywożono chleb. Czasem przywożono tylko suszoną rybę innym razem tylko cukierki lub tylko wódkę. Z głodu musieliśmy kupować te artykuły, które akurat były w sklepie. Czasem przez trzy dni jedliśmy tylko rybę lub tylko cukierki. Kiedy w sklepie była tylko wódka, to cała wieś chodziła pijana, zarówno dorośli jak i dzieci. Zawsze to były jakieś kalorie.

Gdy ścisnął mróz musieliśmy sami zaopatrzyć się w opał na zimę. Nie było tam lasów, ale za to rósł piołun grubości ręki. Szło się wtedy na step, łamało się go, wiązało w snopy i przynosiło na plecach do domu. Dużo trzeba było tego nałamać, aby starczyło na zimę. Zbieraliśmy też „kiziaki”, czyli krowie placki (odchody). Można to było robić po pracy. Raz jeden nie wyszłam do roboty bo postanowiłam nazbierać piołunu. Zjechał wtedy z Pawłodaru sąd. W kantorze za stołem zasiadł sędzia, z wyglądu nie lepszy jak nasz szewc czy pastuch i po odczytaniu protokołu zapadł wyrok. Coś tam mówił, czytał ale mnie to nie obchodziło. Niewiele z tego rozumiałam. Miałam wtedy 15 lat. Bałam się tylko, aby nie wzięli mnie do wię-

zienia. Sędziego słuchałam nieuważnie, było mi obojętne. Nie wiem nawet co mi zasądził, ale widząc moją obojętność widocznie dał mi spokój. Tym bardziej, że ja głupio uśmiechałam się, co go tylko zdenerwowało. Chyba nic mi nie zasądził. Ot taka szopka dla postrachu. Trochę ucięli mi zarobków i miałam mniejszą wypłatę. Potem nieraz jeszcze nie poszłam do pracy, ale już bez żadnych konsekwencji. Było to już po amnestii i inny był stosunek władz do nas.

Życie toczyło się dalej. Praca ponad siły. Zima okrutna. Kazano nam wozić paszę dla bydła. Paszą tą była słoma składana bardzo daleko w stepie (ok. 8 km). Jeździliśmy saniami zaprzężonymi w woły idące bardzo wolno. W czasie tych podróży schodziliśmy z sań, bo na nich można było zamarznąć.

Latem - celem zabezpieczenia karmy dla bydła - wywożono nas nad dużą rzekę Irtysz. Była to bardzo głęboka i szeroka rzeka. Wzdłuż niej rosły drzewa i bujna trawa. Z miejsca naszego zamieszkania do rzeki było około 100 kilometrów. Szliśmy piechotą, bo gnaliśmy cały tabun bydła, który tam wypasaliśmy do jesieni. Nadzorczy i brygadziści, kuchnia i nasz dobytek wieziono furmankami. Wśród nas była przeważnie sama młodzież. Mężczyzn w 1942 roku powołano do wojska. Kobiety i młodzież, a czasem nawet dzieci przymuszano do wszystkich, czasem nawet najcięższych prac. Najgorsza była przeprawa na drugi brzeg Irtysza łodziami razem z bydłem. Przez rzekę o bardzo rwącym nurcie płynęliśmy po cztery osoby w łodzi, a każda trzymała za rogi na sznurku jednego wołu. Zwierzęta nie chciały płynąć, zanurzały się całkowicie przechylając łódź, która nabierała wodę. Trzeba było trzymać się dobrze, aby nie wpaść do wody. Były przypadki utonięcia ludzi i zwierząt. Myślę, że teraz nie miałabym takiej odwagi. Wtedy trzymała mnie tylko świadomość, że umiem pływać. Zresztą młodzież nie boi się ryzyka. Wiele rzeczy wtedy robiłam z odwagą i sama się sobie dziwię, skąd ją miałam. Chęć przetrwania dodawała sił. Nie dopuszczałam do siebie myśli, że mogę utonąć. dzielnie walczyłam z bykami ciągnąc je za „nałygi” tzn. lejce. W łodziach płynęły same dziewczyny. Nie było możliwości odmowy, na brzegu stał brygadier i popędzał. Groził także zmniejszeniem racji chleba. A jak ktoś utonął, to nawet tego nie zauważono (u nich ludzi dużo). Gdy już byliśmy na miejscu, musieliśmy sami sobie robić szalasy z gałęzi. Nie mieliśmy żadnych materaców ani koców. Siano służyło za pościel. Ratowało nas to, że lata były bardzo ciepłe. Udręką natomiast były komary. Zawsze pierwszego dnia cięły nas najbardziej. Byliśmy spuchnięci, że nie widać było oczu. Zaczęła się rozprzestrzeniać malaria. To straszna choroba. Ataki tej choroby u ludzi zdarzały się prawie codziennie. Wpierw trzęsło przez parę godzin, a potem następowała wysoka gorączka do 40°C. Po takim ataku było się zupełnie bez sił, a do roboty trzeba się stawić. Jako lek stosowano tylko chininę, którą wydzielali technicy weterynarii bo lekarza nie było. O bydło bardziej dbano, niż o ludzi. Po powrocie do Polski już nie miałyśmy ataków, podobno zmiana klimatu to spowodowała, że nie chorowałyśmy na malarię.

Panował głód. Wydzielona porcja wodnistej zupy i 400 gramów chleba musiało wystarczyć na cały dzień. Praca trwała od świtu do nocy. Polegała na koszeniu, grabieniu i układaniu siana w stogi. Zawsze byliśmy głodni, zmęczeni i niewyspani. Trwało to jakieś dwa miesiące. Potem zwoziliśmy to siano do sowchozu i to

też była udręka polegająca na ponownej przeprawie przez Irtysz.

W sowchozie w okresie żniw praca była o wiele cięższa, ale można było ukraść trochę zboża. Przynosiło się je w kieszeniach lub w obuwiu. Było to zakazane pod groźbą ostrych konsekwencji, robiono rewizje, ale zawsze kiedy była taka możliwość przynosiłam coś do domu. To nas utrzymywało przy życiu.

Po żniwach zaczynała się orka. Prace te wykonywały przeważnie dziewczęta. Miałam pług i cztery pary wołów. Koni nie było. Napięte normy nie pozwalały na ich wykonanie. Z tego powodu zawsze obcinano nam przydział chleba. Nie umiałam orać, z trudnością utrzymywałam pług. A i woły nie dokarmione odmawiały pracy. Ile trzeba było się namęczyć, aby nauczyć je chodzić po bruździe. Zdarzało się, że zdychały na polu. Prace te wykonywaliśmy przeważnie daleko od domu. Kończyliśmy późną nocą. Spaliśmy w barakach. Raz na tydzień szliśmy do domu, aby umyć się. Przejście nocą przez step było niebezpieczne z powodu grasujących wilków. Zdarzało się, że napadały ludzi. Dlatego musieliśmy podróżować całą brygadą krzycząc głośno. Rano skoro świt znów wyruszaliśmy te parę kilometrów do roboty. Polki trzymały się razem bo z Kazachami nie przyjaźniłyśmy się. W domu czekała na nas Mama, której przynosiłyśmy kawałki niedojedzonego chleba. Nie było żadnej zmiany bielizny, brakowało żywności, także soli. Około 5 km od naszej wsi znajdowało się słone jezioro. Sól leżała na brzegu jak piasek, ale zbieranie jej było zakazane. Aby jej trochę nazbierać wyruszaliśmy w kilka osób nocą z workami. Kradliśmy ją dla wszystkich. Trzeba było uważać, aby nie natknąć się na strażnika. Sól ta była szara zanieczyszczona piaskiem. Jak soliło się potrawy to piasek upadał na dno lub chrząścił w zębach.

Innym razem wybieraliśmy się nocą na arbuzy (kawony). Oddalony o 4 km kołchoz uprawiał te pyszne owoce, ale nie można było ich kupić. Jediną możliwością ich pozyskania pozostawała kradzież. Klimat tamtejszy charakteryzujący się krótkim okresem wegetacji i gorącymi latami służył uprawie tych owoców, więc były bardzo dorodne. Nocą przeważnie w kilka osób szliśmy z workami na plantacje tych owoców nazywane „bakcze”. Pilnowane były przeważnie przez jakiegoś starca. Dla nas nie był on groźny. Ponieważ wokół grasowały wilki, więc straszaliśmy stróża idąc nocą z zapalonymi patykami przypominającymi świecące wilcze oczy. Stróż widząc to wolał schować się w szałasie. Wtedy my napelnialiśmy worki ile kto mógł unieść i wracaliśmy do domu. Arbuzy i melony to były jedyne owoce, które można było tam zdobyć. Jak one nam smakowały. Do dziś pamiętam ich smak. W późniejszym moim życiu już żaden owoc mi tak nie smakował. Najdziwniejsze jest to, że wszystko w tym kraju trzeba było ukraść, a nie kupić.

W zimie pracowałam z moją koleżanką Jadzią Malewską przy czyszczeniu zboża wialnią. Wtedy nie odczuwałam tak głodu, ponieważ miałam okazję ukraść trochę ziarna chowając do kieszeni i butów. Brygadier patrzył na to ze zmrużeniem oka. Śmiał się, że jak idę do pracy to jestem chuda, a wracając grubieję. Wiedział, że wszyscy kradną i nie ma na to rady – ludzie muszą jeść.

Następnej zimy pracowałam w oborze przy karmieniu bydła. Ponieważ karmy nigdy nie starczało, więc bydło padało z głodu. Jak rano przyszło się do obory to zawsze widziało się kilka sztuk niezwywych. Wtedy trzeba było zawiadomić tech-

nika weterynarii. Przychodził, niby zarzynał zdechłe bydłę i kierował do sprzedaży lub na wspólny kocioł. Ludzie wiedzieli o tym, ale jedli. Nasza Mama kiedyś z sąsiadką upatrzyła na stepie zdechłe cielę. Powyrzynały co lepsze mięso i przyniosły do domu. Nawet było dobre.

Ze skór bydłęcych robiło się obuwie. Surową skórę kroilo się na kawałki wielkości stopy. Ze wszystkich stron nacinało się dziurki przewlekając przez nie skórzane rzemienie. Nakładało się na nogi, zaciskając tymi rzemieniami. Tak trzeba było chodzić, aż skóra wyschła i stwardniała, przybierając kształt stopy. Niektóre były nawet zrobione jak kierpce góralskie. Nazywały się „czyrki”. Do nich nosiło się wełniane, grube skarpety robione na drewnianych drutach. Wełnę pozyskiwało się skubiąc owce oraz wielbłądy pasące się na stepie. Nie było to dla nich bolesne, chyba nawet przyjemne bo nie uciekały. Nasz brygadier Nurgoza, kiedy zobaczył naszą zaradność w pozyskiwaniu runa, przymykał oczy. Z wełny wielbłądziej przędzianej na wrzecionach robiliśmy piękne chustki. Niektóre panie umiały prząść i pamiętały wzory. Mieliśmy ciepłe rękawice, skarpety i chustki. Potrzeba – matką wynalazków.

Ja nauczyłam się wtedy prząść na wrzecionach i robić na drutach, a była to umiejętność poszukiwana, dzięki której można było zarobić.

W kazachskim sowchozie Zangar było nam już trochę lepiej, niż w poprzednim niemieckim. Po zawarciu układu Sikorki – Majski, zaczęto nam już wypłacać pieniądze za naszą pracę. W sowchozie kobiety, młodzież i dzieci były jedyną siłą roboczą, ponieważ mężczyźni poszli na front. Aby więcej zarobić i dostać więcej chleba (400 gramów), staraliśmy się dobrze pracować. W nagrodę można było otrzymać worek ziemniaków, a to było coś. Mama śmiała się z nas, że jesteśmy „stachanowcami”, czyli przodownikami pracy.

Nasza Mama pierwsze dni zimy bardzo chorowała nie wstając w ogóle z łóżka. Nie wiadomo było na co choruje. Potem organizm widocznie sam zwalczył chorobę. Do pracy jednak nie chodziła, nigdy nie pracowała fizycznie, była delikatnego zdrowia. Siostra Maria również była chorowita. Jeśli pracowała, to gdzieś przy stróżowaniu lub w innych lekkich pracach. Zresztą ona wszystkiego się bała. Nigdy niczego nie ukradła, chociaż była bardzo głodna. Do tego stopnia, że kiedy stróżowała przy kombajnie pełnym zboża, to prosiła abym do niej nie przychodziła kraść zboże, tak się bała. Ja jednak miałam więcej odwagi kraść u siostry. Ta przynajmniej nie biłaby jak inny stróż. Wyobrażam sobie jak wtedy jej serce waliło ze strachu. Ale z głodu wszystko można znieść, a zwłaszcza kiedy po nocach śni się chleb, a na jawie go nie ma. Ja natomiast byłam odważna. Dzięki mnie i one przeżyły. Znałam wszystkich traktorzystów, od których zawsze dostawałam trochę nafty. Służyła nam jako źródło światła. Do butelki wciągało się sznurek, nalewało nafty i był kaganek. Ze stróżami też miałam kontakty – zawsze pozwalali coś ukraść. A przy okazji i im coś przyniosłam do domu. Oni bezpośrednio po pracy nie mogli bo ich sprawdzano jak kończyli służbę. Wszystko to robiliśmy z myślą, aby przeżyć i móc wrócić do kochanej Ojczyzny. Ta myśl nie opuszczała nas. Nadzieją była wojna niemiecko-rosyjska. Na początku wojny wszyscy myśleli, że Niemcy zwyciężą i my wrócimy do Polski. Nadzieja była coraz dalej, gdy na froncie zaczęła zwyciężać

Armia Czerwona, a nasza kochana Ojczyzna oddalała się.

W lutym 1944 roku Rosjanie bojąc się, aby poszczególne republiki sowieckie nie przechodziły na stronę niemiecką, zaczęli wywozić ludność cywilną na Syberię, tak jak wcześniej nas. W Kazachstanie wówczas znaleźli się ludzie z republik górskich: Czeczeni, Ingusze, ludzie z Kaukazu, ale także Niemcy i Tatarzy z nad Donu i Wołgi oraz Ukraińcy. Nas, młode dziewczęta wysyłano na stacje kolejowe marnymi furmankami zaprzężonymi w woły, aby przywozić tych ludzi do sowchozu. Bałyśmy się ludzi z gór. Mówiono, że to naród buntowniczy. Mieli przy sobie kindżały i po kilka żon. Byli raczej bogaci. Mężczyźni mieli piękne czapki karakułowe, na ramionach płaszcze z czarnej wełny. Byli bardzo przystojni. Mieli dużo bagażu i dużo dzieci. Kobiety niczym nie wyróżniały się, były raczej brzydkie i stare. Wyznawali wiarę muzułmańską, tak jak tubylcy – Kazachowie. Kiedy zobaczyli nas modlących się na różańcu, początkowo myśleli, że jesteśmy jednej wiary. Oni modlili się podobnie na koralikach, czyli zwykłych paciorkach, które tylko przebierali palcami. Przebywanie z nimi dostarczało nam wiele śmiechu. Nie uznawali wieprzowiny, a do wychodka chodzili ze specjalnymi dzbankami, bo Allah nakazał po każdym załatwieniu się podmywanie. Twarzy i całego ciała mogli nigdy nie myć, ale „tam” obowiązkowo. Często w nocy kradli nam nasz wychodek do uprawiania obługi². My z kolei na drugą noc też im kradliśmy i tak przechodził ten cenny obiekt z rąk do rąk. To robili Czeczeńcy i Ingusze bo Kazachowie te sprawy załatwiali wprost na stepie nie krępując się. Za papier toaletowy służyła słoma, zresztą tak samo jak nam. Ani gazety, ani listków nie było. Żadnej higieny. Dobrze, że z tej biedy kobiety nie miały swojej „choroby”.

Najgorzej denerwowały nas te ich modły. Gdy zachodziło słońce oni rozkładali dywaniki i zaczęli modlić się w trakcie charakterystycznego kiwania ciałem. Razem pracowaliśmy i denerwowało nas, że oni modlili się kiedy norma była nie wyrobiona, co groziło utratą chleba. Często przez to wracaliśmy z pracy późną nocą przeklinając ich.

Czasami trzymały się nas żarty. Pewnego razu jednemu chłopcu imieniem Tijak wysmarowaliśmy usta skórką od słoniny i włożyliśmy kawałek do jego kieszeni. Zrozpaczony biegał, tarł piaskiem usta, prosił, aby mu wyjąć skórkę z kieszeni. Jak dziś pomyślę o tym, to się jeszcze tego wstydzę. Byliśmy okrutni. A może to było z naszej bezsilności, chęci odwetu. Nauczyliśmy się kłać po kazachsku. Pewnego razu jednemu Kazachowi zabrałam dobrego byka do orania, to znaczy takiego, który umiał chodzić po bruździe. A przy okazji zakłęłam na niego zrzucając mu czapkę z głowy. Tego już mu było za wiele, od kobiety taka hańba. A trzeba wiedzieć, że u muzułmanów kobieta to coś niższego. On wtedy zamachnął się biczykiem i pozostawił ślad na moim ciele noszony przez tydzień.

W ogóle z kobietami nawet nie wolno im było jeść przy wspólnym stole. A zachodziły takie sytuacje w czasie żniw, gdy był wspólny kocioł i stół. Wówczas ci mężczyźni rozsiadali się przy stole, a nam nie zostawiali miejsca. Wtedy my – Polki i Rosjanki – wciskałyśmy się obok nich. Oni wstawali uważając, że to hańba

² Prawdopodobnie chodzi tu o „wudu”, czyli ablucję poprzedzającą modlitwę w islamie.

siedzieć z kobietami przy jednym stole.

Święta

Święta Wielkanocne i Bożego Narodzenia niczym nie różniły się od dnia powszedniego. Chodziło się do pracy trwającej od świtu do nocy. Dopiero pod koniec naszego pobytu dniem wolnym od pracy był co siódmy dzień i nie zawsze wypadał w niedzielę (tzw. wychodnoj). Nikt nie miał kalendarza i nie wiedzieliśmy kiedy wypada Wielkanoc. Księży i kościoła nie było. Do 1941 r. t.j. do czasu wojny niemiecko-bolszewickiej, kiedy jeszcze nadchodziły listy z kraju, mieliśmy wiadomości, kiedy wypadały święta ruchome. Potem już nic nie wiedzieliśmy.

W czasie Bożego Narodzenia musieliśmy pracować. Dopiero po przyjeździe z pracy około godziny 20⁰⁰ dzieliliśmy się chlebem zaoszczędzonym w ciągu dnia. Nie było żadnych potraw wigilijnych, rarytasem były „leniuszki” z kradzionego prosa i wodnisty krupnik. Za choinkę służył stepowy chwast zwany „kuraj” zawieszony u sufitu lepianki, przystrojony jakimiś szmatkami. To był jedyny symbol świąt, w stepie nie rosły świerki. Kładliśmy się spać głodne, wspominając dawne wigilie. Takie było nasze świętowanie na obczyźnie.

W naszej lepiance mieszkała pani Latosińska. To ona podtrzymywała nas na duchu. Z nią śpiewaliśmy kolędy, wymyślała różne wróżby, aby nas – młodzież - czymś zająć. Modliliśmy się odwracając myśli o głodzie. W naszej izbie mieszkały trzy rodziny, więc było gwarno. Pośrodku stała duża kuchnia, która dawała ciepło na całe pomieszczenie. W czasie mrozów wszyscy garnęli się do pieca. A w czasie świąt razem modliliśmy się i płakali. Wychodziliśmy także pod inne lepianki śpiewając kolędy, życząc sobie i innym następnych świąt już w kraju. Jak był duży mróz sięgający 50°C starzy Kazachowie mówili, że trzeba policzyć dziewięciu łysych ze słowami „piesiadsia moroz” tzn. przesiądź się mrozie. Nie wiadomo dlaczego mróz wtedy stawał się mniejszy. Taki przesąd skutkował.

Zimy były straszne, mroźne, jakich nikt z nas dotąd nie przeżywał. Kto tam nie był, nie wie jak wyglądają kazachstańskie „burany”. W jednej chwili świat staje się szaro-biały. Szalony wichur jak trąba chwyta wszystko w swe wiry i rzuca człowieka o ziemię jak wór. Śniegu było tak dużo, że czasami rano trzeba było robić przekopy, żeby wydostać się z chaty pokrytej równo z dachem śnieżnym całunem. Idąc do studni, można było zablądzić

i zamarznąć. Trzydziesto, a czasem czterdziestostopniowy mróz zatykał oddech, rozdierał płuca. W oczach zamarzały łzy, nosem nie można było oddychać.

W Kazachstanie mieszkało bardzo dużo Niemców. Byli to koloniści sprowadzeni tam jeszcze za cara. W czasie wojny do wojska ich nie brali. Stworzyli natomiast dla nich tzw. „trud armię”, coś w rodzaju gułagu. Uciekali z niej masowo w swoje strony. Często ucieczki przez stepy kończyły się tragicznie, kiedy następowały w zimie podczas 40-stopniowego mrozu. Kiedy wychodziliśmy do roboty na tzw. „śniegozadzierzanie”, napotykaliliśmy zamarznięte trupy w stepie. Wtedy ich zwożono do wsi i my kopaliśmy dla nich groby w zamarzniętej ziemi. Była to bardzo ciężka praca, posługiwaliśmy się łomami. Chowano ciała nieopodal wsi, bo oczywiście cmentarza nie było. Po tych nieoznaczonych miejscach w lecie chodziły

tabuny zwierząt. Osoby zmarłe spośród nas były chowane tak samo. Przypominam sobie jedną z pań, którą rozjuszony byk zabił rogami. Z nami mieszkała jedna rodzina żydowska. Syn woził naftę do traktorów, natomiast córka handlowała nią. Ktoś ją przeskarżył do NKWD i została tak dotkliwie pobita, że zmarła. Potem z głodu zmarła ich matka. Osoby te zostały także pochowane na tym niby cmentarzu. Jak wyjeżdżałyśmy stamtąd, nie było śladu mogił.

Zbliżała się wiosna, step pokrył się zielenią i kwiatami. Któregoś dnia poczuliśmy wielki żar jak z pieca. To palił się step. Na horyzoncie pojawił się straszny ogień. Wszystko płonęło, obory z bydłem, sterty słomy, pasące się bydło. Nie było możliwości ratowania tego dobytku, bo brakowało wody i sprzętu do gaszenia. Ludzie zaczęli przekopywać step łopatami, aby zapobiec rozprzestrzenianiu się ognia. Raptem zmienił się wiatr i zostaliśmy uratowani. Pozostała ziemia spalona, okropny widok.

Do 1941 roku przychodziły jeszcze do nas paczki z Polski od krewnych (Hłobuczanka)³. Była to przeważnie mąka, słonina, czosnek. Pisałyśmy również do Łucka do wujostwa, ale żadnej odpowiedzi nie otrzymywałyśmy. Pod koniec 1944 r. otrzymałyśmy wiadomość od nieznanego nam osoby z Łucka, która przejęła nasze listy. Zawiadomiła nas, że naszego wujka po wywiezieniu nas na Syberię, Rosjanie przenieśli do Sienkiewiczówki jako kierownika tamtejszej apteki. W 1943 roku Ukraińcy dokonali mordu na nim i jego żonie. To był dla nas cios. Nie miałyśmy już nikogo z najbliższych. O naszym Ojcu nic nie wiedziałyśmy.

Kiedyś, już po amnestii, gdy działały polskie władze w ZSRR, wybrałyśmy się z moją koleżanką Jadzią Malewską po pomoc do siedziby delegatury władz polskich w Pawłodarze. Szłyśmy piechotą ok. 100 km. Myślałyśmy, że otrzymamy od nich jakąś zapomogę. A tam zbyto nas byle czym, parę konserw. A myślałyśmy, że otrzymamy dużo więcej i podzielimy się z pozostałymi Polakami. Ich magazyny pękały w szwach od darów z UNRY. Pracujące tam kobiety były dobrze ubrane, paliły papierosy, na stole leżała czekolada. Widać było zadowolone, uśmiechnięte twarze. Tam nie było głodu. Wróciłyśmy też piechotą, zawiedzione, głodne. Idąc płakałyśmy. W delegaturze zastałyśmy hieny żerujące na nas. Potem dowiedziałyśmy się, że tymi darami handlowano. Te delegatury były z ramienia Rządu Londyńskiego. Ale wszędzie pracowali tylko ludzie tacy jak my. Zmienili się po tym jak zaczęli dysponować dobrami.

Nasza Mama po jakimś czasie została w naszym sowchozie mężem zaufania. Jeździła do Pawłodaru po żywność i odzież. Pracowała z pewnym Żydem. Dary dzielili sprawiedliwie, często sobie mało zostawiając, aby nie narazić się na obmowę. Wśród odzieży najczęściej były mundury wojskowe z mnóstwem dużych kieszeni, które przydawały się na kradzione zboże.

Nasze życie nie było lepsze od życia ludzi w łagrach. Wyrządzona nam krzywda była taka sama i taki sam głód i poniewierka. Co by się nie mówiło, to wojenna „podróż” w głąb nieprzebytego kraju, na „Sybir”, nagłe zgony naszych znajomych, choroby, głód, wycisnęły swoje piętno na naszych psychikach. Każdy z nas

³ Wieś na Wołyniu, gdzie zamieszkiwali krewni.

był w jakiś sposób spaczony, okaleczony. Mnie przez dziesiątki lat prześladowały tragiczne twarze zagłodzonych na śmierć. Nie mogłam spać. Bałam się, że zwariuję. Dużo jest do opowiadania, jak zbierałam kłosa na wiosnę i zamrożone ziemniaki, różne rośliny, które jadło się po sprawdzeniu, czy nie są trujące. Gdy byliśmy na Syberii nadzwyczaj smakowała nam kasza jaglana jedzona bez żadnego tłuszczu. Obiecywaliśmy sobie, że w Polsce najemy się jej do syta. I kiedy po powrocie do kraju Mama ugotowała ją spełniając nasze życzenie, to nawet dodatek masła, słoniny, czy mleka nie podniósł jej smaku takiego, jaki pamiętałyśmy z pobytu na Syberii. Okazało się, że najlepszym lekarstwem na apetyt i najbardziej smakowitą przyprawą jest głód.

Bardzo dużo czasu i wysiłku kosztowało nas zdobywanie opału. W stepie nie było drzew. Zbieraliśmy wszystko, co można było po wysuszeniu spalić. Przede wszystkim wysoki piołun i stepowe burzany, czyli ubiegłoroczne zeschnięte trawy. Najciekawszą rośliną była „pierekotipole” czasami nazywana „kuraj”, za którą trzeba było ganiać po stepie. Rośliny te odznaczały się delikatnością, miały kształt kulisty. Oderwane od podłoża toczyły się poychane wiatrem jak przezroczyste kule. Gdy zmieniał się jego kierunek „pierekotipole” opierały się o nasze lepianki. Trzeba było szybko łapać te kule, udeptywać i składać w stosy. Jednak ten opał nie był dobry, spalał się szybko nie dając wiele ciepła. Lepszy był piołun i „kiziaki”, czyli zbierane na stepie łajno bydłce. Paliło się dobrze i trzymało ciepło. Z początku brzydziliśmy się tego, ale potem przyzwyczailiśmy się. Człowiek tak niewiele potrzebuje by żyć. Nigdy nie mieliśmy zapasów jedzenia i paliwa. Żyliśmy dniem dzisiejszym nie wiedząc co będzie jutro.

Niedaleko naszego sowchozu był cmentarz muzulmański. Od nas można było obserwować ceremonie pogrzebowe. Hałas, kołatanie, dzwonienie i bębnienie ściągało nas na mury cmentarza. Uroczystość przebiegała następująco. Od strony wsi najpierw biegł truchcikiem tłumek mężczyzn poprzedzony odgłosem fujarek, bębnów. Czterech mężczyzn niosło nisko nad ziemią łóżeczko z nieboszczykiem spowitym w białe płótno, jak kokon. Stawiano to łóżeczko do wcześniej ulepionego z gliny z domieszką szezki grobowca i natychmiast zalepiano wejście. Cała ta prędką ceremonia odbywała się przy hałasie, piszczeniu, bębnieniu i podskokach. Kobiety nigdy nie brały w niej udziału. Natomiast jeśli kobieta spotkała taki kondukt, musiała się ukryć zakryta białą chustą.

Kazachowie ubierali się w obszerne podbite futrem szuby. Na głowach mieli czapki z lisa futrem do spodu, które miały swoisty krój, długie nauszki sięgające pleców jak pelerynki. Nad czołem był rodzaj daszka sięgający futrem do oczu. Latem nosili małe haftowane czapeczki „tibietiejski”, obszerne spodnie i luźne koszule. Kobiety kazachskie nosiły czapki podobne do męskich i kożuszki pod piersiami marszczone, haftowane. Były brzydkie, włosy czarne plecione w drobne warkoczki, oczy skośne. Zarówno latem jak zimą nosiły spodnie podbite futrem, chroniące od zimna i upałów.

Od wiosny 1943 roku zaczęła się akcja namawiania nas do przyjęcia rosyjskich paszportów, czyli obywatelstwa. Straszono ciężkim więzieniem. Nasze panie jak też nasza Mama stanowczo odmówiły. Skończyło się to kilkudniowym areszto-

waniem, ale nie przyjęliśmy sowieckiego obywatelstwa. Niektórzy przyjęli i mieli z tym ogromne kłopoty, ponieważ nie mogli potem powrócić do Polski. Pamiętam jak moja koleżanka Raja płakała, bo jej matka ugięła się przyjmując rosyjskie obywatelstwo. Nie wróciła do Polski. My byliśmy nie ugięci. Obiecywano nam różne profity. Mszcząc się na nas mówiono: „waszej Polsce nie budiet nigdy” i musicie żyć w Związku Sowieckim. „Was na to zdieś przywiezli szto wy tut podochli”⁴. Przypominali nam to zawsze.

Od czasu amnestii i po wyprowadzeniu wojska polskiego i ludności cywilnej przez gen. Andersa, życie nasze stawało się coraz bardziej beznadziejne. Został zerwany układ Sikorski-Majski z powodu Katynia. Traciliśmy nadzieję powrotu do Polski. Został utworzony Związek Patriotów Polskich, który jak potem dowiedzieliśmy się był na usługach ZSRR. Zaczęła tworzyć się armia polska pod dowództwem gen. Berlinga. Z naszego sowchozu część mężczyzn zdążyła pójść do armii Andersa. Reszta została powołana do armii Berlinga. Zdarzało się, że członkowie jednej rodziny byli w obu armiach. Ja miałam szaloną ochotę pójść do wojska. Byłam nadzwyczaj wyrośnięta jak na swoje 15, 16 lat lecz nie przyjęto mnie. Zresztą nie żałowałam, bo beze mnie Mama i siostra nie przeżyłyby. Dużo moich kolegów poszło do wojska, a niektórzy zginęli pod Monte Cassino i pod Lenino.

Wojenna sytuacja stworzyła szczególne więzi między członkami różnych narodów. Ludzie dzielili się zarówno przeżyciami jak i kawałkiem chleba, często ostatnim. W porównaniu z innymi narodowościami Polacy okazywali się bardziej odporni na głód, zimno i trudy. Okres głodu pociągnął za sobą wiele ofiar. Widziałam drastyczne przypadki śmierci głodowej, uczestniczyłam w grzebaniu zmarłych. To cicha i okrutna śmierć, natomiast potworna jest bezsilność świadków.

Najtrudniejsza do zniesienia była nikła nadzieja powrotu. Ledwie się w nas tliła. Do ostatniej chwili nie było pewności, czy wrócimy. Rozstanie z Ojczyzną miało w sobie element trwałości, którego nie dało się wyeliminować z serca. Gdy głodując marzyło się o jedzeniu, nie był to tort orzechowy lecz chleb. Nasza Mama, mimo że przeszła wiele chorób, jak mogła dzielnie nas wspomagała. Wróciła do Polski jako 50-letnia kobieta, a wyglądała na 80 lat. Schorowana, z ciężką chorobą wątroby spowodowaną przebytą malarią. Zmarła w 1957 roku. My młode jakoś szybko weszłyśmy w tryby nowego życia na wygnaniu. Nowe warunki, nowi ludzie, egzotyczny krajobraz, wszystko to było ciekawe. W pierwszym roku żyliśmy nadzieją, że niedługo wrócimy do kraju. Na początku mieliśmy trochę odzieży, którą mogliśmy wymienić na chleb. Dopiero jak wszystko skończyło się i nie pozwolono nam pracować, zaczął się głód i choroby. Z Polski przestały przychodzić paczki. Wtedy już była rozpacz. Jedynie modlitwa i opieka boska dawała nam nadzieję.

Daleko w stepie był kołchoz, w którym siano łany słoneczników. Latem nikt ich nie pilnował, ale jesienią, kiedy zaczynały dojrzewać pilnie ich strzeżono.

Postanowiłyśmy z koleżanką tam pójść i ukraść ich trochę, naturalnie w nocy. Ziarna słonecznika można było kupić u Kazachów wiozących je na wielbłądach z dalekiego stepu, ale nie miałyśmy pieniędzy. Prażone słoneczniki, czyli „siemiaki”

⁴ Z j. ros.: Waszej Polski nigdy nie będzie. Was tutaj po to przewieźli, żebyście tu zdechli.

były powszechnym pożywieniem, chociaż trudnym do spożywania. Miejscowi byli w tym niedościgli. Wrzucali sobie do ust całe garście ziaren, potem wyłuskując kolejno wypluwali tylko łuski, które staczały się im po brodzie. Robili to bez użycia rąk. Mnie na początku jakoś to nie szło, ale z czasem pojęłam tę czynność i zgrabnie naśladowałam tubylców. Doszłam do takiej wprawy, że nawet mnie podziwiano. Wszystkie w domu łuskałyśmy ziarnka lecz posiadałyśmy ich za mało, aby zaspokoić głodne żołądki. Gdy wiał buran i nie można było wyjść z domu, „siemiczki” były jedynym pożywieniem.

Zbliżał się koniec wojny, a my stale żyłyśmy wszystkie trzy w tej zagubionej od świata nieludzkiej ziemi. Wokół była radość, udzielała się i nam jak skrawek cienia w spiekotę. Była jak woda nie zaspokajająca pragnienia do końca. Nie wiedziałyśmy, co nam przyniesie koniec wojny kilka tysięcy kilometrów od Europy. Nie wiedziałyśmy wszystkiego o Niemcach, których nasi polscy żołnierze pomagali zwyciężyć. Ale dobrze poznałyśmy wroga, który zajął połowę Europy i pod którego władzą byłyśmy przez 6 lat.

Był maj 1945 roku. Przyszło spóźnione ciepło, nastąpił szybki rozwój roślinności. Jak każdego dnia, także 9 maja pracowałam z traktorzystą daleko w stepie. Oraliśmy. Nic nie wiedziałam o końcu wojny. Aż późnym wieczorem, gdy zjechałam do wsi, odczułam ogólną radość. Ludzie od rana nie pracowali tylko świętowali. Miałam żal, że nikt mnie nie powiadomił. Z tego powodu dostali nawet dodatkowe porcje chleba, a mnie to ominęło. Wróciłam głodna i zmęczona. Boże, jakie to skomplikowane, łączyliśmy się w radości z tymi, którzy kwietniowej nocy 1940 r. wywieźli nas poza granice naszego kraju, porzucając w stepie. My chłoniliśmy radość, by z niej zbudować nadzieję na nasz powrót.

Od tego czasu płynęły tygodnie, a w naszej sprawie żadnych wiadomości. Nic nie działo się, co miałoby natchnąć nas optymizmem. Z frontu wracali żołnierze często bez nóg i rąk, my nasłuchiwałyśmy rozmów, by dowiedzieć się co słychać w świecie, z którego powrócili.

Lato znów upalne, walka o byt taka sama, nie ma poprawy. Ciągłe trwał głód, burany wiały jak każdego lata, goniliśmy resztkami sił i sposobiliśmy się do powrotu jak kalekie ptaki. Ze strachem, czy dotrwamy do tego odlotu. A tu mijało lato, step poszarzał, piaski każdego ranka twardniały od mrozu. Polonijne organizacje szturmowały u władz, by dowiedzieć się, co z nami będzie. Lokalni władcy nic nie wiedzieli. Moskwa milczała. Potem dowiedzieliśmy się, że sporządzane są jakieś listy, ustalane nazwiska. Nie wszyscy kwalifikowali się do powrotu. Ogarnął nas niepokój, czy listy nie okażą się wykazem osób jadących nie na zachód, lecz gdzieś pod koło podbiegunowe. Tyle już mieliśmy złych doświadczeń za sprawą tego reżimu. Tyle razy już nas oszukano, żyliśmy w ciągłym strachu.

Zastanawialiśmy się, czy właśnie mija ostatnie lato tutaj spędzone, czy przyjdzie nam przeżyć jaszczke jego promienie ostre jak skalpel. To było trudne lato. Miałyśmy nadzieję, że z końcem wojny odnajdzie się nasz Ojciec.

Opiszę tu ciekawe zjawisko - „podnoszenie się horyzontu”. Pewnego razu szłam z koleżanką Jadzią do odległej o 30 km wsi Jefremiówka. Wybrałyśmy się przed wschodem słońca. Liliowe światło wstającego dnia nasycalo się różowością.

Horyzont miał o tej porze kształt wklęsłej miski z podniesionymi brzegami. Zabudowania znajdujące się w ciągu dnia poza linią widnokregu ukazywały się nagle na jego krawędziach. W taki sposób wyłoniła się wieś Jefremiówka z wiatrakami i słonym jeziorem, w tym złoto-różowym świetle. Znikło to wszystko natychmiast po wschodzie słońca, a dookoła roztoczył się niezmierny step pokryty trawą i barwnymi kwiatami. Zjawisko wyłaniania się przedmiotów zza linii horyzontu przed wschodem słońca obserwowaliśmy na Syberii jeszcze wielokrotnie. Widywaliśmy tu również odbijanie się drgającym w czasie upału powietrzu oddalonych domów, drzew, wielbłądów, które przy zbliżaniu się do nich wracały do normalnej pozycji i wymiarów. Takie zjawiska można obserwować tylko tam na stepie, gdzie są olbrzymie odległości i pustka, a niebo styka się z ziemią. To „fatamorgana”.

W kilka tygodni po zakończeniu wojny i zawarciu wstępnych porozumień pokojowych, a także po zakończeniu kampanii siewnej, zarząd sowchozu postanowił uczcić koniec wojny wielkim przyjęciem. Odbyło się na placu przed budynkiem biura. Zabito kilka wołów i pieczono biały chleb. Posłano do Pawłodaru po cukier, cukierki i wódkę. Wtedy pierwszy raz można było najeść się do syta. Latem dotarli do nas echa targów o nasz kraj w Teheranie, Jałcie i Poczdamie. Z oburzenia ścisnęły nam się serca. Co będzie z Polską i czy my wrócimy do domu. Jaki los nas czeka. Czy będziemy skazani na sowieckie obywatelstwo. Te beznadziejne rozważania odsuwały się na drugi plan, zdominowane przez troski dnia codziennego. Skończyły się zapasy żywności ukradzione z „przyjęcia” i głód zaczął zagłębiać w oczy i zagłuszać inne uczucia. W brygadach polowych gotowano coraz gorsze posiłki i mniejsze racje chleba. Żywiliśmy się dzikim szczawiem i czosnkiem, lebiodą i kradzionymi otrębami. Tej wiosny i latem mnie przydzielono do pasienia stada krów sowchozowych. Jeździłam na oklep na koniu lub wole. A były takie woły przyuczone do jazdy pod wierzch. Miały uzdy i lejce do prowadzenia. Była to lekka praca, lecz niebezpieczna, bo po stepie grasowały wilki. Inna korzyść to możliwość udojenia mleka. Lecz ja niestety nie umiałam doić i bałam się krów. Znajome panie, które umiały wykonać tę czynność, przychodziły do mnie na step i kradły mleko, a mnie zawsze dawały kubek. Należało uważać, żeby brygadier tego procederu nie widział. Przy pasieniu bydła pracowałam codziennie bez wychodnego. Cierpiałam głód i były takie dni, że tylko jeden kubek mleka musiał wystarczyć za całe pożywienie. Do domu przychodziłam o zachodzie słońca.

W sierpniu, gdy dojrzewało zboże, można było w nocy pójść z nożyczkami na „prywatne żniwa”. Wtedy trochę się odżyło. Suszyło się kłosy na słońcu, a ziarna męło w żarnach. Otrąb nie odsiewało się. Z tego gotowałyśmy kluski, które kłuły podniebienie.

Siostra Maria pracowała wtedy przy trochę lepszych pracach. Brygadier widział, że ona nie ma siły, więc dawał jej stróżowanie, albo wożenie wody do traktorów. Miał dla niej litość.

W lecie 1945 roku przyszły wiadomości o zabiegach Związku Patriotów Polskich w Sowietach dając nam nadzieję. My początkowo specjalnie nie dawaliśmy wiary tym wieściom, wciąż oczekując ratunku z Zachodu i innych rozstrzygnięć polskiego losu. W październiku wykorzystując jeszcze względnie ładną pogodę,

kto mógł chodził łamać piołuny – dobry, wydajny opał na zimę. Zbieraliśmy też w stepie „kiziaki”, układając w duże sterty koło lepianki.

W połowie listopada 1945 roku wszyscy Polacy zostali wezwani do siedziby rejonu w celu przeprowadzenia zmiany obywatelstwa z sowieckiego na polskie i wręczenia dokumentów podróży do Polski. Był to dla nas wielki dzień. I chociaż długo łudziliśmy się, że inny rząd polski będzie nas zabierał do kraju, zgłosiliśmy się tam. Dokumenty, które otrzymaliśmy po oddaniu zaświadczeń sowieckich, były dwujęzyczne rosyjsko-polskie z fotografią. Stwierdzały, że obywatel polski na mocy umowy między rządami udaje się do Polski. Dokumenty wystawiał Związek Patriotów Polskich w Kujbyszewie.

Mieliśmy nareszcie nadzieję na powrót. Nie przypuszczaliśmy, że przyjdzie nam jeszcze zimować w Kazachstanie. Nie ubieraliśmy odpowiedniej ilości opału, myśląc o rychłym powrocie. Obiecywano nam wyjazd przed Nowym Rokiem. Odbiło się to na nie dogrzanej lepiance. Naprędce musieliśmy podjąć decyzję, aby przyszykować się do kolejnej szóstej zimy. Trzeba było szukać opału nim zasypie śnieg oraz opatrywać lepiankę. Ubrania nasze były już w tragicznym stanie. Buty i walonki ledwie się trzymały, okrycia w strzępach, prześcieradeł i poszewek od dawna nie było. Kołdry używane bez pokrowców niszczyły się szybko, wylazła z nich wata i gnieździły się wszy. Mnóstwo wszy! To była plaga. Walczyliśmy z pluskwami, ale insektów z kołder i włosów nie było jak wytępić. Nie było żadnych środków chemicznych, a sposoby mechaniczne pozostawały bez rezultatu. W zimie nie było mowy o wywieszaniu pościeli na mróz. Brakowało mydła. To największa klęska nas upokarzająca.

Znów straciliśmy nadzieję na wyjazd. Spadły duże śniegi, zawaliły drogi. Mieliśmy jeszcze przeżyć szóste Boże Narodzenie na Syberii, a świat obchodził już radość bez grozy wojny. Zaczynaliśmy wpadać w beznadzieję po chwilowym rozbudzeniu złudzeń wyrwania się z tej nieludzkiej ziemi.

Piołuny szybko kończyły się, mrozy dochodziły do 45°C i trzeba było uzupełniać zapasy opału.

Ostatniej zimy pracowałyśmy z siostrą w oborze przy bydle, skąd można było przynieść trochę słomy zmieszanej z sianem tzw. „objedki” na ugotowanie posiłku. Posyłano nas też saniami po paszę dla bydła do stert daleko w stepie. Wyprawy te podczas olbrzymich mrozów i buranów były niezwykle niebezpieczne, szczególnie, że brali w nich udział ludzie młodzi, niedoświadczeni, nie zdający sobie sprawy z następstw. Przecież można było zabłądzić w stepie. Aby dostać się do stert trzeba było najpierw odkopać głęboki na metr śnieg wokół i dopiero można było załadować siano lub słomę. A wszystko przy trzaskającym mrozie i w byle jakiej odzieży. Należało narzucić jak najwięcej materiału na sanie, przewiązać łańcuchem i jechać niejednokrotnie około 10 km. Gorzej bywało, gdy w zaprzęgu były stare, słabe woły, które co jakiś czas kładły się i trzeba było używać różnych sposobów, aby szły dalej. A jeśli do tego zerwał się buran i straciło się kontakt z drugimi saniami, to już była tragedia. Groziło to zabłądzeniem i w konsekwencji zamrożeniem w stepie. Dziś, gdy to wspominam, myślę, że to tylko Opatrzność nad nami czuwała. Nieraz przyjeżdżało się do domu z odmrożonymi palcami, no-

sem, a walonki ściągało się razem z przymarznąłą onucą do nogi. W dodatku zastawało się zasypaną śniegiem lepiankę. Tylko po kominie trafiało się na swój dom. W czasie buranu studnie były zasypane, więc musieliśmy topić śnieg. W izbie było ciemno, bo okno było zasypane śniegiem, kopcilka nie dawała dużo światła. Rano nie można było wyjść na dwór, bo drzwi były zasypane. Wtedy robiło się tunel, aby dojrzeć niebo. Czasem ktoś z mieszkańców pomógł nas odkopać. Ale na wieczór znów śnieg zasypywał lepiankę. Trwało tak przez 5-6 tygodni. Znaleźliśmy na to sposób. Liczyliśmy dziewięciu łysych i rzeczywiście prędzej buran mijał, tak nam się zdawało. Mówiliśmy przy tym „złam się mrozie”. Przez ten czas życie toczyło się wolno. Wykonywano tylko niezbędne czynności, aby jak najmniej wychodzić z domu. Z żywnością wtedy było bardzo źle. Do sklepu niczego nie dawano, a i wymienić odzieży na żywność już nie mieliśmy. Gnębił nas głód i gryzły wszy.

Święta Bożego Narodzenia – ostatnie na Syberii – mimo głodu były jakieś radośniejsze. Żyliśmy ciągle nadzieją. Mieszkająca z nami pani Latosińska dodawała nam otuchy. Mimo swojego podeszłego wieku była optymistką. Po wigilii to jest po zjedzeniu tylko krupniku zachęcała nas do wróżb, tak jakby to było w Polsce wśród młodzieży. To ona na chwile odwracała naszą uwagę i myśli o dawnych wigiliach w Polsce, bo zawsze przy okazji świąt wspominaliśmy jakie potrawy kiedyś jedliśmy.

W lutym wezwano nas do „sielsowietu”⁵ i powiedziano, że przyszło rozporządzenie z województwa, iż wszyscy Polacy mają być odwiezieni na stację kolejową w Pawłodarze, skąd pociągiem odjedziemy do Polski. „Przedsiedatiel”⁶ dostał polecenie wypłacenia nam wynagrodzenia i zaopatrzenia na drogę w żywność. Do pracy już nie chodziliśmy. Szykowaliśmy się do drogi. Mieliśmy trochę sucharów i chleba oraz mąki. Oczywiście także „siemiczki”, które w drodze umilały nam życie. Wreszcie w końcu lutego 1946 r. nadszedł dzień wyjazdu. Mróz wtedy był siarczy. Przewodniczący polecił przygotować nam mocne sanie i zdrowe woły. Do Pawłodaru było 100 km. Miejscowa ludność na drogę pożyczyła nam jakieś burki, kozuchy i walonki. Załadowaliśmy na sanie swój dobytek składający się z porwanej kołdry, dwóch poduszek przesyconych potem (używane bez poszewek) i tej żywności. Starsi jechali na saniach, a młodzież szła piechotą. Mieszkańcy Zangaru żegnali się z nami. Ingusze i Czeczeńcy w swoich odświętnych czarnych burkach pięknych karakułowych czapkach. Patrzyli na nas w milczeniu. Myśmy jechali do Ojczyzny, a oni zostawali nie wiedzieć na jak długo, może na zawsze. Żegnali nas jak przyjaciół, z którymi przeżyło się wiele dobrych i złych dni. Pomimo tych wszystkich zadrażnień, żyliśmy jednak z tą ludnością w zgodzie. Zawiazywały się między nami nawet przyjaźnie. Oni tak samo jak my cierpieli głód i poniewierkę. Odprowadzono nas do najbliższej wsi, jakieś 20 km. A potem długo stali, aż zniknęli z naszych oczu. Było nam ich żal. Co się z nimi stało? Pisałam kiedyś do tej wsi, ale nikt nie odpowiedział.

⁵ Gmina.

⁶ Przewodniczący sowchozu.



To ja (z lewej) i moja siostra. Zdjęcia do dowodu tożsamości wykonane przed wyjazdem z Syberii do kraju.

W naszym sowchozie spośród Polaków wiosny 1946 roku doczekało kilka rodzin. Postarzałe kobiety, podrosłe na zesłaniu dzieci oraz młodzież żeńska przedwcześnie dojrzała, z bogatym życiorysem. Buty i odzież przywiezione z Polski zdarły się całkiem, wracaliśmy w łachmanach. Ja z siostrą miałyśmy zabrane z Polski szkolne granatowe mundurki, które trzymałyśmy na powrót. Jednak po sześciu latach z 13 i 15 – latek stałyśmy się dorosłe. Mundurki posłużyły nam tylko do fotografii umieszczonych w paszportach.

Całą drogę odmawialiśmy różaniec. Szliśmy noc i dzień, wszyscy piechotą, aby nie zamarznąć. Odżywialiśmy się w drodze chlebem i sucharami. Na noc zatrzymaliśmy się już w Pawłodarze na tak zwanym „postojale”⁷. Tu czekali na nas członkowie zarządu Związku Patriotów Polskich oraz formalni opiekunowie z NKWD. Powożący saniami odebrali od nas pożyczoną na drogę odzież, pożegnali się z nami i odjechali do wsi.

Sprawdzono nam starannie dokumenty. Rozegrało się przy tym kilka tragicznych scen, kiedy parę osób, które wyszły za mąż za miejscowych zabrano ze stacji z powrotem. W oczekiwaniu na resztę Polaków z innych wsi i na pociąg, spędziliśmy jeszcze jeden dzień, śpiąc pokotem na ziemi na „postojale”. Wreszcie, gdy przyjechał pociąg, po ponownym sprawdzeniu dokumentów załadowano nas do wielkich, bydłowych, towarowych wagonów, zaopatrzonych w żelazne piecyki z wychodzącymi na zewnątrz rurami kominów. Wyposażone były w prymitywne ubikacje i dwa poziomy drewnianych prycz pod ścianami. My umieściłyśmy się na górnej pryczy, rozesałyśmy zdobyte siano, wypakowałyśmy kołdrę i poduszki urządzając wygodne legowisko.

⁷ Poczekałnia.

Pociąg ruszył. Na następnej stacji znów sprawdzono dokumenty i obecność w wagonach. Nasze wagony doczepiono do długiego pociągu i ruszyliśmy dalej. Transport miał około 50 wagonów, a w każdym około 30 osób. Wciąż był duży mróz. Ściany wagonu, a szczególnie jego metalowe części, pokryły się grubym szronem. Nie dawano nam węgla do palenia w piecykach. Musieliśmy go sami zdobywać na stacjach w czasie postojów. Nie dawano nam też nic do jedzenia. Chyba organizatorzy naszej podróży nie zdawali sobie sprawy, w jakim stanie większość Polaków wyjeżdżała po sześciu latach pobytu w Kazachstanie.

W czasie podróży nie myśliśmy się ani razu. Brak było wody nawet do picia. A ubrania nasze po 20 dniach podróży aż „chodziły” od robactwa. Nie było możliwości nawet przebrać się w inne, a w zdjętych trochę wytłuc wszy. Jechaliśmy tym razem już bez konwojentów, a przynajmniej ich widocznej opieki. Nikt nam nie rygłował drzwi. W czasie postoju pociągu wychodziliśmy na stację, aby zdobyć jakieś pożywienie. Było to niebezpieczne bo nigdy nie było wiadomo, kiedy pociąg odjedzie. Zdarzały się wypadki, że niektórzy ludzie nie zdążyli powrócić. Musieli czekać na następny. Widziałam jak gromadka wynędzniałych ludzi, ledwo wlokąc zeszywniałe od długiego siedzenia w bezruchu osłabione nogi, wracała do stojącego pociągu i w tym momencie ruszył. Przeżerażeni pasażerowie biegli na ile im starczało sił. Ludzie w pociągu podnieśli krzyk, aby maszynista zatrzymał pociąg. Niestety wagony jechały początkowo wolno stopniowo przyspieszając. Ludzie biegnący wzdłuż pociągu wdrapywali się do wagonów wciągani przez współpasażerów. W końcu została tylko kobieta, która nie zdążyła i wpadła pod pociąg. Maszynista nie zatrzymał pociągu. Na okrutnej ziemi sowieckiej przybyła jeszcze jedna nieznaną mogiła.

W czasie przejazdu przez Ural, zdaliśmy sobie sprawę, że naprawdę wracamy do Polski. Było wtedy szczególnie zimno, ale nie mogliśmy się powstrzymać, żeby nie odsunąć trochę drzwi wagonu. Przejeżdżaliśmy przez górską przełęcz pasma Uralu. Wrażenie na nas zrobił stający przy torach kamienny czterograniasty słup. Na jednym jego boku wryty był napis „Jeuropa” (Europa), a na przeciwległym „Azja”. Nareszcie byliśmy w Europie. Na postoju dla zabawy przeskakiwaliśmy z toru na tor mówiąc „teraz jestem w Azji, a teraz w Europie”.

Mijaliśmy Pietropawłowski, Kurhan, Świerdłowski, Czelabiński – przypominałam sobie te znajome stacje sprzed sześciu laty. Chyba w Ufie – miejscowości leżącej już po europejskiej stronie Uralu, posłano nas do łaźni. Ubranie zaś zabrano do odwieszalni (dezynsekcji). Kazano nam wcześniej powiesić je na metalowych wieszakach, potem wjechały całą masą do kabiny z gorącym powietrzem. Wszyscy ludzie w tym czasie przechodzili nago do wielkiego pomieszczenia z betonową podłogą pokrytą drewnianymi matami. Osobno kobiety i osobno mężczyźni. Stały tu długie ławki, a na nich blaszane miski, przy ścianach krany z zimną i ciepłą wodą. Dano nam wtedy mydło. Ta masa nagich brudnych ciał robiła przygnębiające wrażenie. Ale był to wielki dzień, przez kilka godzin poczuliśmy się czysti i wyzwoleni od wszy. Zaatakowały nas natychmiast w wagonach i to ze zdwojoną siłą. Ta „wuszo-bojka” nic nie dała, ubrania nasze tylko rozparzyły się i robactwo nie zginęło.

Byliśmy głodne. Mąka się skończyła, chleba i sucharów miałyśmy bardzo

mało. Jadliśmy tylko raz dziennie, żeby na dłużej starczyło.

Jadąc przez europejską część Rosji wszędzie widziałyśmy nędzę i zniszczenia. Wieziono nas od południowego wschodu w stronę Białorusi. Pociąg włókł się, przystawał na bocznicach, czekał na stacjach, przepuszczał transporty jadące z zachodu w głąb kraju. Pociągi w przeciwną stronę wiozły mnóstwo różnych materiałów jak np: meble, maszyny, samochody, urządzenia fabryczne, złom, węgiel itp. Kiedy transport stał na stacji obok wagonów z węglem, zaraz ktoś błyskawicznie wskakiwał na platformę i zrzucił wzdłuż pociągu bryły i kawałki węgla. Mieliśmy czym palić w piecykach i ugotować jakąś zupę.

Mijaliśmy biedną i opuszczoną ziemię białoruską, na której nic nie zasiano, natomiast miasta i wsie były w większości spalone.

Na którejś stacji staliśmy dosyć długo na boczniczy czekając na przejechanie transportu z zachodu. Nagle nadjechał pociąg z takimi samymi wagonami jak nasze – bydłecymi. Z tych wagonów rozległy się okrzyki „wiezut polskich panów”. Okazało się, że to był transport Ukraińców – „rezunów”⁸, których wieziono na Syberię. Oni siłą otworzyli jeden wagon i szli w naszym kierunku wygrażając, że nas zabiją. Gdyby nie straż sowiecka, pewnie byliby to zrobili. Zaraz kolbami karabinów zagoniono ich do wagonów. Czasem podchodzili do naszego pociągu ludzie chcąc obejrzeć „panów z Polszy”. I odchodzili zawiedzeni widząc brudnych obdartusów, spuchniętych z głodu, z czerwonymi od niewyspania i sady oczyma.

Im bliżej było do granicy z Polską, tym wiosna miała wyraźniejsze oznaki. Znikł szron na ścianach wagonu, po nocach nie drżeliśmy z zimna. W ciągu dnia słońce mocniej grzało. Na postojach lub kiedy pociąg włókł się, otwieraliśmy wagony i grzaliśmy się w słońcu. W Tule zrobili nam drugie mycie i odwszawianie. Po dwóch tygodniach podróży nareszcie umyliśmy się, ale nie zmieniając bielizny bo jej nie mieliśmy na zmianę. Na parę dni poczuliśmy ulgę. W worku z żywnością pozostały nam już tylko spleśniałe okruchy chleba, z których gotowaliśmy zupę. Oprócz gorącej wody na stacjach (tzw. „kipiatok”), nic nam nie dawano. Znając mapę i lokalizując mijane większe miejscowości, przeliczaliśmy na dni odległość dzielącą nas od celu podróży. Między zrujnowanym Homlem, a Mińskiem wskoczył do naszego wagonu człowiek. Mówił, że jest tutejszy. Wypytywał skąd i dokąd jedziemy. Było ciepło, siedzieliśmy w drzwiach ze spuszczoneymi poza wagon nogami. Pociąg włókł się jak wóz zaprzężony w woły. Człowiek ten pytał, jaki rząd jest u nas. Jechał z nami kilka godzin. Wysiadając powiedział: „Jedźcie z Bogiem i módlcie się, żeby nasi prędzej od was wyszli, bo doprowadzą was do takiej nędzy, jak u nas”. Minęliśmy Homel i Mińsk, wjechaliśmy już na nasze dawne ziemie. Więcej tu było miast i osiedli, chociaż wojna tu także pozostawiła zgliszcza. Widoczne były ślady lepszego gospodarowania. Ładniejsze budynki otoczone dużą ilością zieleni.

Któregoś ranka wjechaliśmy na stację w Brześciu Litewskim. Wysiedliśmy z wagonów. Wielki, ponury, odbudowujący się ze zgliszczy dworzec, otoczony był

⁸ Tak określano nacjonalistów ukraińskich, którzy przeprowadzali mordy na Polakach.

stosami zwalonych „trofiej”⁹ z zachodu. Były to połamane meble, szafy, lustra, fortepiany, jakieś skrzynie z potłuczonymi naczyniami i ubraniami, książki, kanapy itp. Wszystkie zdobycze zabierano wracającym z zachodu żołnierzom, żeby nie szerzyli zachodniego dobrobytu wśród biedoty sowieckiej. Rozpaliliśmy ognisko, gotowaliśmy zupę z pozostałych spleśniałych resztek chleba i oszukiwaliśmy głód. Stacja pełna była ludzi takich jak my, obdartuchów. Niedaleko stacji był kościół, jeszcze wtedy czynny. Wyszły z pociągu ludzie zmory, dorośli i dzieci, wygłodnieli, wychudli, w strzępach kufajek i watowanych spodniach, w zgrzebnych swetrach na gołe ciała. W niezdatnych paltach ze starych koców, w groteskowych strojach uszytych z worków. Z głowami owiniętymi lachmanami, w dziwnych czapkach, w dziurawych, wykoślawionych resztkach butów, walonkach, „pimach” z dziurawymi piętami zatkanymi wiechciami słomy. Z fioletowymi plamami głodu i wycieńczenia na brudnych wymęczonych i opuchniętych twarzach. Z zapadłymi, zgaszonymi oczami. Zmory te ukłękły na torach, wyciągały ręce do nieba, całowały ubity żwir i czarny żużel między torami, który dla nas był odzyskaną po latach tułaczki i udręki Ziemią Ojczystą!

Ponieważ pociąg stał na stacji cały dzień, wszyscy udaliśmy się do kościoła. Robiliśmy okropne wrażenie. Miejscowi ludzie pytali co to za jedni. Ksiądz specjalnie dla nas otworzył kościół. Całym transportem zajęliśmy wszystkie ławki i miejsca stojące. Były tłumy tych nędzników. Trzech księży zasiadło w konfesjonalach. Ludzie rzucili się do spowiedzi. Po sześciu latach było z czego spowiadać się, szczególnie z kradzieży. Ja wstydiłam się tego grzechu najbardziej. Wyrozumiały ksiądz staruszek ze zrozumieniem wysłuchał, pokiwał głową i powiedział: „Nie wstydz się tego, robiłaś to, aby przeżyć”. Mam wrażenie, że tylko z tego grzechu ludzie się spowiadali.

A kiedy ksiądz wszedł na ambonę i przywitał nas zesłańców słowami: „Witajcie w Kraju”. Chociaż to jeszcze nie była nasza Ojczyzna, ale dawne miasto polskie Brześć, rozległ się w kościele ogólny szloch. Wszyscy płakaliśmy ze wzruszenia i powitania księdza, który w bardzo oględnych słowach mówił, kto nas tak skrzywdził. Był to przecież Związek Sowiecki i takiemu księdzu mogło grozić więzienie. Potem rozpoczęła się msza święta. Było to dla nas wielkie przeżycie po tylu latach uczestniczyć we mszy świętej. W roli ministrantów wcieliło się dwóch mężczyzn, których lachmany przykryły białe komże. Wszyscy przystąpiliśmy do komunii świętej. Po mszy wyszliśmy z kościoła i udaliśmy się na dworzec. Po kilka osób z wagonu poszło na stację po gorącą wodę i chleb, którego było zawsze za mało. Następnie kazano nam przenieść się już do polskich wagonów, normalnych nie bydłowych. Wopiści patrzyli na nas ze zdziwieniem, nie znali takiej „mody” jak nasza.

Granicę przekraczaliśmy w zupełnie innym mieście aniżeli sześć lat temu. Przed wojną miasto Szepietówka było na pograniczu Polski. Obecnie znajdowało się daleko po tamtej stronie. Wagony naszego pociągu były brudne, a miejsca twarde. W ogóle to nie tak wyobrażałam sobie przekroczenie granicy. Byłam rozczarowana. Patrzyłam smutna przez zamazane szyby na szarość za oknem. Nic nie

⁹ Rzeczy zdobyczne, zrabowane.

napawało mnie optymizmem, nie budziło otuchy. Bałam się przyszłości. Wszyscy czuli się nieswojo. Nie było tej radości, że jesteśmy w Ojczyźnie, o której przez sześć lat śniliśmy.

Dojechaliśmy do Warszawy. Niektórzy ludzie już wysiadali na dworcu i jechali do swoich rodzin. Byli wolni. Do wagonów podchodzili jacyś żołnierze i pytali o swoje rodziny wymieniając ich nazwiska. Każdy kogoś szukał. Z nami jechała pani Ostrowska, żona oficera z Łucka, z dwojgiem dzieci. Trzecie dziecko pochowała w Pawłodarze. Podszedł do niej polski oficer elegancko ubrany. Przywitał się z nią, poczęstował papierosem nie patrząc na to, że była w łachmanach. Też kogoś szukał. Zdziwiło to nas, że dostrzegł w niej ludzką istotę. W ciągu naszej drogi przez Polskę, jeszcze nieraz były takie sytuacje.

Nasz transport zatrzymał się w Poznaniu. Tu był koniec naszej podróży. Wieczorem poszliśmy z koleżankami na przechadzkę zwiedzić miasto. Nie zdawałyśmy sobie sprawy, że nasz wygląd będzie budził zdziwienie przechodniów. W domu niedaleko stacji przy stole siedziała rodzina, piła herbatę, nad stołem jasno świeciła lampa. Zwyczajna scenka. A my dzikuski z Kazachstanu stałyśmy za ogrodzeniem i patrzyłyśmy w to okno z zazdrością. I nagle prysła nasza radość z powrotu. Nie miałyśmy domów, nie miałyśmy ojców, nasze matki były stare i zmęczone. To co kochałyśmy na kresach zostało za granicą. Nie miałyśmy dokąd wracać. Pracownicy Państwowego Urzędu Repatriacyjnego patrzyli na nas z zakłopotaniem, co robić z tą nędzą?

W Poznaniu na stacji siedziałyśmy jeszcze dwa dni budząc powszechne zdziwienie, co to za ludzie w takich łachmanach. A dla nowej władzy byliśmy niewygodni, ponieważ wymownie świadczyliśmy o „humanitaryzmie” najlepszego z ustrojów. I tak siedząc i śpiąc na stacyjnych ławkach, patrzyłyśmy jak inni podróżni wyciągają z toreb kanapki z białego jak śnieg pieczywa i ze smakiem jedzą. To było nie do zniesienia. Jakaś kobieta widząc nasze oczy łakomie spoglądające na te kanapki, ulitowała się i dała nam po kromce chleba. Potem urząd repatriacyjny zarejestrował nas, dał po 500 zł. i bezpłatne bilety na pociąg do Radzyna Podlaskiego. Za te pieniądze natychmiast kupiłyśmy chleb, dużo chleba. Zanim dojechaliśmy do Radzyna, a jechałyśmy cały dzień, bo wtedy pociągi tak kursowały często przystając, chleb został zjedzony. Nie pomyślałyśmy nawet, że można było kupić coś do chleba i szybciej się nasycić.

Byłyśmy w kraju. Ale kiedy usiądziemy z rodziną przy stole pod jasną lampą? To już temat na inne opowiadanie. Jeszcze wspomnę pewien incydent na stacji w Poznaniu. Kiedy tak chodziliśmy po torach, podszedł do nas jakiś kolejarz i ktoś od nas spytał, gdzie można dostać mleka dla dziecka. Wtedy on odpowiedział słowami, które do dzisiaj mam w pamięci. „A po co wy komuniści tam jechaliście i teraz wracacie?” Nikt się nie odezwał, bo cóż można było mówić. Oni byli normalni, a my mieliśmy zamiar nimi być.

Ja za każde przeżycie dobre i złe dziękuję Panu Bogu, który nam towarzyszył na tej tułaczce, chociaż było nam bardzo ciężko. Przeżycia te wzbogaciły mnie duchowo, nauczyły szanować wszystko i wszystkich. Nauczyły nas miłować bliźniego, przebaczać i podchodzić do każdego ze zrozumieniem, mimo że wiele doznałyśmy

przykrości od naszych rodaków. Do tej pory są ludzie, którzy nie mogą zrozumieć naszych cierpień. A jeszcze inni twierdzą, że widocznie były one zasłużone.

Po powrocie do Polski w 1946 roku nie było dla nas sprawiedliwości. Nasza Ojczyzna nie przyjęła nas jak matka. Nie wolno było mówić o naszej krzywdzie i tragedii. Wszystko zostało wypaczone i załgane. Musieliśmy trzymać w tajemnicy fakt, że wywożono nas pod kolbami w bydłych wagonach, wśród okrutnej zimy. Nie wolno było przyznawać się, że to NKWD przyczyniło się do naszej poniewierki. W ogóle kazano nam wymazać z pamięci sześć lat spędzonych na Syberii, bo ówczesne władze nie pozwalały oskarżać „wielkiego brata” – Związku Sowieckiego, który nam jawił się jako największy wróg. Wyzywano nas od „ruskich” i pytano po co przyjechalysmy do Polski. Zresztą w dowodzie osobistym miałam wpisany kraj urodzenia ZSRR, a przecież Wołyń przed wojną należał do Polski. Tak zachowywała się część społeczeństwa Radzyna, która – mniemam - nie знаła historii narodu polskiego, a szczególnie tych kart najboleśniejzych. Mówiono nawet, że widocznie zasłużyłyśmy na taki los. Nawet lekarz kiedyś zapytał mnie, po co pojechałam na Syberię. Przecież mogłam odmówić. Jeszcze w naszej Ojczyźnie doznaliśmy wiele krzywd.

Wstyd przyznać się, że jeszcze długo po powrocie spałam z chlebem pod poduszką i ukradkiem w nocy skubałam. Do dziś dnia szanuję każdy okrucuch chleba. Mam żal do pewnego lekarza-psychiatry, który prowadził wywiad ze mną zadając śmieszne pytania w porównaniu z moimi cierpieniami, że dzięki tej podróży zwiedziłam kawał świata. Co za brak wyobraźni.

Nikt, kto tego nie przeżył nie zrozumie, że można doświadczyć takiego upokorzenia, biedy i że przez 50 lat nie można było przyznawać się do zsyłki na Syberię. To była tajemnica.

Do Radzyna Podlaskiego przyjechalysmy 15 marca 1946 roku. Przytuliła nas i otoczyła opieką rodzina naszej Mamy. Byli to Amelia i Antoni Olejaszowie. (Antoni pracował jako organista w radzyńskiej parafii). Sami biedni, bo w 1943 roku uciekli z Wołynia przed bandami ukraińskimi. Mimo to podzielili się z nami czym mieli. Wiele im zawdzięczamy za okazane serce. Ubrania nasze, a właściwie lachmany „chodziły” od insektów (wszy), więc musiały zostać spalone.

Tę garść moich wspomnień z dzieciństwa, z których jedne zatarły się w pamięci, inne stoją jak żywe przed oczami, napisałam dlatego, żeby oddać hołd mojej Matce, drobnej kobiecie nie przywykłej do takiej biedy i poniewierki. Walczyła ona o utrzymanie nas przy życiu i jeszcze pomagała innym, znosząc upokorzenia. W ten sposób chciałam także oddać hołd tysiącom innych matek bohatercko znoszących trudy życia w trosce o swoje dzieci.

Radzyna Podlaski – miejsce stałego osiedlenia

Po przyjeździe do Radzyna Podlaskiego próbowaliśmy możliwie szybko zaaklimatyzować się do nowych warunków. Staraliśmy się na ile można zapomnieć o nieodległej przeszłości. Chciałyśmy żyć tak jak inni ludzie, nadrobić zaległości w

wykształceniu, a przede wszystkim zarabiać na życie pracą. Pomógł nam pierwszy Starosta Radzyński Bocheński, który pochodził ze Lwowa. Zostałam zatrudniona w Starostwie Powiatowym jako maszynistka, natomiast moja siostra w Urzędzie Miejskim. Nie byłyśmy przygotowane do takiej pracy, ale dzięki naszej mamie, która była nauczycielką, nie robiłyśmy błędów. Zresztą w tym czasie nie było wielu ludzi zatrudnionych w urzędach i każdy chętny mógł dostać pracę. Przed podjęciem pracy Starosta zrobił mi dyktando i przekonał się, że piszę poprawnie. Prędko też nauczyłam się pisać na maszynie. Innych zatrudniano na próbę bez wynagrodzenia na 3 miesiące, a mnie o razu wypłacono za pierwszy miesiąc i obdarowano z darów UNRA (dary amerykańskie). Dostałam materiał na sukienkę i pantofle. Chociaż nędznie, ale zostałam ubrana.

W starostwie też poznałam mojego przyszłego męża, który został w 1946 roku zdemobilizowany po odbyciu kampanii wojennej. Zatrudniono go w referacie wojskowym. Bardzo przypominał mi mego Stacha, brunet, ciemna opalona cera, ten sam wzrost i figura. To była miłość od pierwszego wejrzenia i na całe życie. Zapomniałam o moim Stachu. Przeżyliśmy z mężem 45 lat.

Mój mąż należał w czasie okupacji niemieckiej do AK. Kiedy sowieci wkroczyli na tereny polskie, zaczęły się aresztowania. I tak w sierpniu 1944 r. NKWD zrobiło obławę na AK-owców. Młodszy uciekli do lasu, a starszych aresztowano. W ten sposób szwagier mojego męża Edward Kublicki, który także należał do AK w Suchowoli, dostał się w ręce Rosjan. Jego żona pozostała na gospodarstwie rolnym z trojgiem małych dzieci. Wówczas Marian – mój przyszły mąż, któremu udało się uciec podczas obławy zorganizowanej przez NKWD, postanowił zgłosić się dobrowolnie na wymianę za szwagra. W tym celu przekupił bimbrem pilnującego aresztowanych żołnierza i ten zgodził się na wymianę. Liczba mu się zgadzała. Nie nastęczało to wiele kłopotów, ponieważ trzymano ich w domu parafialnym w Radzyniu. Były to pierwsze aresztowania i specjalnie nie pilnowano ich. Wśród zatrzymanych znajdowało się wielu starszych rangą żołnierzy AK. Po kilku dniach wywieziono ich do Lublina na Majdanek, gdzie spędzili około dwóch tygodni. Następnie z całą grupą trafił do Rosji w pobliże Moskwy. Starszych rangą żołnierzy wywieziono na tzw. „białe niedźwiedzie”, a młodszych skierowano do wsi Kryłusza celem odbycia kwarantanny. Tam pracowali w kolchozie cierpiąc głód. Potem wcielono ich do I Armii Wojska Polskiego im. Tadeusza Kościuszki. Po przeszkoleniu w Riazaniu skierowano na front. Przeszedł szlak bojowy od Wału Pomorskiego do Berlina. Służył w 12 Pułku Piechoty IV Dywizji im. Jana Kilińskiego. Był dowódcą kompanii w randze podporucznika. Po zakończeniu wojny został zdemobilizowany, bo wyszło na jaw, że był w Armii Krajowej.

W pewnych fragmentach mieliśmy podobny życiorys. Oboje w czasie wojny trafiliśmy w głąb Rosji. Mnie wywieziono w 1940 r., jego oczywiście z zupełnie innych powodów w 1944 r.

Czasami opowiadał niektóre swoje przeżycia wojenne. Między innymi przytaczał fragment działań frontowych, w których ważyły się losy życia i śmierci każdego żołnierza. Podczas zdobywania Kołobrzegu, kiedy trwały walki o każdy dom, siedł z pistoletem przez piwnicę. W pewnym momencie naprzeciwko pojawił się

młody chłopak (16-17 lat) z Hitlerjugend, także z pistoletem. Mój mąż strzelił pierwszy i dzięki temu ocalał. Po wojnie często widział przerażone oczy tego chłopca, a właściwie dziecka. Takie momenty zdarzały się nieraz. Śnił po nocach przez kilka lat po wojnie.

Z okresu II wojny światowej miał dużo odznaczeń bojowych polskich i sowieckich.

A ja ciągle myślałam, gdzie zginął mój Ojciec. Przypuszczałam, że w Katyniu bo był oficerem. W 1990 roku pojechałam z pielgrzymką do Katynia, przywiozłam stamtąd garść ziemi i wkopałam do grobu mojej Mamy. Dopiero po długich staraniach w 1994 roku otrzymałam wiadomość ze Stowarzyszenia Rodzin Katyńskich, że Ojciec mój tuż po aresztowaniu został skierowany na rozstrzelanie do Charkowa o czym świadczyły odnalezione akta. Wtedy wmurowałam tablicę pamiątkową z nazwiskiem mego Ojca na grobie mojej Mamy na cmentarzu radzyńskim. Wyryta jest na niej informacja, że został zamordowany przez NKWD w 1940 roku i w dokumentach widnieje pod numerem 2969. Przynajmniej w ten sposób chciałam upamiętnić bestialskie zamordowanie mojego Ojca.

Tym smutnym akcentem kończę moje wspomnienia. Takie było nasze dzieciństwo i młodość, a to są jego echa.

Wciąż tęsknię za moim rodzinnym miastem, z którego mnie na zawsze wypędzono, ukochanym Wołyniem i szczęśliwym dzieciństwem tam spędzonym.



Kazachstan



Przedwojenna mapa Polski z zaznaczonym Wołyniem